FRAGMENT DZIEWIĄTY

O tym, jak Judasz po trzech latach wędrowania z Jeszuą powrócił do Jeruzalem. Także o tym, że zamiast poczynić zakupy na wieczerzę, udał się na rozmowę z kapłanem Micheaszem.

Drogi obeschły równie szybko, jak zmieniały się w potoki. Po miesiącach suszy ziemia piła deszcz niczym spragniony wędrowiec. Woda wsiąkała w ukryte pod powierzchnią kanaliki i mysie nory, i zdawała się przenikać aż do szeolu. Tylko u podnóża Góry Oliwnej stało jeszcze kilka kałuż. Wkrótce zniknęły i one.

Judasz siedział na kamieniu i patrzył na jaśniejące na wzgórzach złotobiałe Jeruzalem. Jego wzrok ominął wieże i pobiegł w stronę górującej nad murami Świątyni. Spoglądał na miasto ze wzruszeniem, wzmożonym trzyletnią nieobecnością. Kiedyś pytał towarzyszy, czy nie byłoby właściwe, aby Dom Boga stał w samym środku świętej stolicy, uważał bowiem, że nie tylko powinien górować, lecz być oddzielony od królewskich i ludzkich zabudowań fosą. Śmiali się z niego i mówili, że to nieważne, bo Wszechmocny i tak nie zamieszka w czymś, co zostało wzniesione ręką człowieka. Stary Zcharia przywołał wtedy słowa Izajasza, że podnóżkiem Adonai jest Ziemia, zaś Niebiosa Jego wezgłowiem i tronem. Miał rację, myślał Judasz, bo gdy obiegał wzrokiem Świątynię, odniósł wrażenie, że jest ona niczym schody, które pną się do nieba i urywają wędrówkę tak samo, jak wieża Babel.

Ze wszystkich stron zdążali do Jeruzalem pielgrzymi. Burza zatrzymała ich na chwilę, ruszyli, gdy tylko przestało padać. Ścieżki i trakty, jak okiem sięgnąć, pełne były przesuwających się w monotonnym marszu, ubranych na ciemno sylwetek. Ciągnęli długimi szeregami – pieszo, na osiołkach, zaś ci, którzy byli rodzinami, nieśli na ręku dzieci. Gdzieniegdzie górował nad grupkami świątecznie objuczony wielbłąd, inni prowadzili ofiarnego baranka, ktoś koźlę, wielu pątników niosło klatki z gołębiami. Do miejsca, gdzie stał, dobiegało pobrzękiwanie łańcuchów, czasem płacz lub śmiech rozbrykanego, trzymanego za rączkę dziecka.

Ktoś schodził z góry, jego podeszwy chrzęściły coraz głośniej. Gdy piechur zrównał się z siedzącym, zatrzymał się. Postał przez chwilę tuż obok – tak blisko, że Judasz widział stopę obutą w sandał – potem ruszył w dół. Judasz podniósł głowę. Między krzewami migała czerwona tunika legionisty. Dziwne było, że z całej zbroi miał tylko sztylet i pas. Wiele musiało się zmienić od czasu, gdy zelota opuścił Jeruzalem. Zmówił modlitwę, potem wstał, przewiązał płaszcz i ruszył w Dolinę Cedronu.

Tłum na drogach gęstniał. Im bliżej Jeruzalem, tym grupy pielgrzymów stawały się liczniejsze. Strumyki ludzi napływały z całej Judei. Podążały z Betlejem, Hinon i Hebronu, znad Słonego Morza i najdalszych zakątków świętej ziemi judzkiej. Pod murami miasta strumyki łączyły się w jedną, spokojną rzekę głów.

Nieobjuczony tobołami, podążał szybciej niż inni. Wyprzedzał ich tak, jakby szedł z nimi w greckie zawody. Kiedy szereg pielgrzymów rozlewał się i zajmował całą drogę, Judasz schodził z traktu. Czynił wtedy półkole niczym pasterz, który obiega pańskie stado. Dwa czy trzy razy któryś z wyprzedzanych pątników spojrzał na niego z ciekawością. Judasz rzucał im „szalom” i, nie czekając na odpowiedź, zostawiał za sobą.

Był od bramy na odległość strzały, gdy jego wzrok znów natrafił na czerwoną tunikę. Pretorianin szedł po drugiej stronie kolumny. Posuwał się ku miastu przyciężkim krokiem najeźdźcy. „Wraca od jakiejś ger”, pomyślał Judasz. Był już tylko o bemę z tyłu. Gdy się zrównali, zwolnił kroku. Przyglądał się olbrzymowi z uwagą. Przypominał brodacza, którego dopadł onegdaj w wąskiej uliczce nieopodal Bramy Tekoa. Zelota nie spuszczał go z oka – jakby i temu zamierzał skoczyć do gardła. Rzymianin wyczuł, że jest obserwowany – i odwrócił głowę. Ich spojrzenia spotkały się. Judasz wytrzymał spojrzenie do końca. Chciał – jak to potem powiedział Zcharii – „wrazić oścień nienawiści w sam środek jego źrenicy”. Przez chwilę szli głowa w głowę – aż do momentu, gdy w oczach żołnierza pojawił się strach. Kiedy rzymianin ruszył szybkim marszem, również zelota wydłużył krok. Przez Pole Folusznika szedł tak szybko, że niemal go doganiał. Legionista dotarł do portyku pierwszy, obejrzał się – i zniknął w przejściu. Za chwilę Bramę Źródlaną przekroczył też Iszkariota. Stanął, rozejrzał się: czerwonej tuniki nie było.

Widziano go na ulicach Dolnego Miasta, jak przeciskał się między porozstawianymi na Pesach straganami. Krążył wśród nich, ale nic nie kupował. Od czasu do czasu zatrzymywał się i przyglądał oblegającym stoiska ludziom. Wyglądał wtedy jak ktoś, kto szuka znanych twarzy. Nie zwracano na niego uwagi. Zaambarasowani nabywcy, pochyleni i zgięci w pół, sięgali po coraz to inne towary, sprawdzali palcami rozłożone na ladach materiały.

Widzieli go tylko sprzedawcy, co i raz natykał się na ich wzrok. To nie byli ludzie w rodzaju straganiarzy z Nazaretu. Szybko orientowali się, kto spośród przeciskających się do stołów przybył po to, aby kupować a kto w zupełnie innych zamiarach. Mierzyli Iszkariotę szybkim spojrzeniem, a potem, choć zajęci rozmową z kupującymi, obserwowali go spod oka. Bardziej niż na pielgrzyma, wyglądał dla nich na jednego z korzystających ze świątecznego tłoku złodziejów. Judasz zrozumiał to i uśmiechnął się: „Biedni kupcy, zawsze martwią się o jedno".

Wtedy uświadomił sobie, że kogoś w tym tłumie szuka. „Batszebe". Myśl o niej spadła na niego jak rój pszczół, krew uderzyła mu do głowy. „Czy ona tu jest? Przyszła na Pesach z Małym Jakubem? A może i Jaakowem?" Zaskoczony tą myślą, przystanął i oparł się o mur. Przechodnie omijali go jak pijaka – i spieszyli dalej. Judasz stał, wsparty o gliniastożółtą ścianę.

Szybkie słońce nissan chowało się za wieże Heroda, gdy ruszył w stronę Świątyni. Kilka chwil później widziano go, jak wspinał się po szerokich stopniach świątynnych schodów.

Strażnik ustąpił, gdy Judasz wsunął mu do ręki denara. Nadal powtarzał, że kapłani są zajęci, ale zmienił ton. Zapytał go po raz trzeci:

– Nachat? Tak cię zwą?

– Nazywam się Nachat. Nachat z Kiriatu. Powiedz, że chcę rozmawiać z kapłanem Micheaszem.

Strażnik zaśmiał się.

– Jeśli kohen zechce cię przyjąć.

Powiedział to i zniknął. Iszkariota usunął się i stanął za kolumną. Nim cień na tarczy zegara minął jeden stopień, strażnik zjawił się na powrót.

– Chodź za mną – rzucił jak rozkaz i ruszył przed siebie. Judasz podążył za nim. Minęli kilka kolumn, potem zeszli z tarasu i zniknęli w prowadzących w głąb Portyku drzwiach.

Korytarze wewnątrz Portyku były pełne ludzi. Najpierw ocierali się o idących w obydwie strony lewitów, chwilę później musieli ustąpić miejsca trzem rozmawiającym szeptem kapłanom. Ci, zajęci sobą, zdawali się ich nie zauważać. Zza kolejnych drzwi dobiegły podniesione głosy. Judasz wyłowił skrawek zdania: „…może więc rzucimy urim?" Z przodu szli słudzy z pochodniami; strażnik z Judaszem cofnęli się pod ścianę i czekali, aż przejdą. Skręcili w lewo, do pomieszczenia przesiąkniętego odorem ofiarnych zwierząt, pełnego krążących ciężkim lotem much. Fetor psującej się krwi był tak silny, że Judasz zakaszlał.

Im dalej, tym kapłanów było mniej. Zaabsorbowani, wychodzili z jednych drzwi i znikali w następnych. Któryś z kohenów zatrzymał się i zmierzył Judasza pełnym ciekawości spojrzeniem.

– Pospieszmy się – rzucił strażnik naglącym tonem. Szli w dół krętymi schodami bez poręczy. Judasz opierał się dłonią o mur i stawiał za przewodnikiem ostrożne kroki.

Schody kończyły się w pomieszczeniu, które przypominało od dawna nieużywaną mykwę. Za nią zaczynał się długi i ciemny tunel. Spiskowiec poczuł się nieswojo. „Nie wygląda to na aliję" – pomyślał. Dopiero gdy dotarli do końca, spostrzegł ukryte w ścianie przejście. Strażnik podniósł kotarę i przekroczył niewysoki próg. Znaleźli się w pustej celi. To była ta sama piwnica, w której spędził najgorsze w życiu miesiące. Rozpoznał wejście do tunelu; było zasunięte kilkoma niespojonymi blokami. Obok stało drewniane krzesło, na siedzisku leżał siddur. Postrzępione brzegi modlitewnika świadczyły, że bywano w celi często i od dawna.

Strażnik podszedł do lichtarza, zapalił świece.

– Tu czekaj – rzucił i posłał mu spojrzenie, jakim zwykł traktować mniej ważnych ludzi. Obrócił się na pięcie i zniknął. Judasz został sam. Poczuł się nieswojo. „Dobre miejsce, by mnie tu jakiś szochet zadźgał".

Drzwi uchyliły się i do sali wszedł wojskowym krokiem lewita. Jego szata powiewała, zaś oczy patrzyły na gościa z wyraźną niechęcią. Judasz nie znał go.

– Nie powinieneś tu przychodzić, Nachacie – rzucił, zanim zajął krzesło. – Ten, który cię chronił, zszedł już do szeolu.

– Przyszedłem, kohenie, prosić za Jeshuą.

– Jeshuą?

– Jeshuą z Galil.

Kapłan wzruszył ramionami i nieoczekiwanie zaśmiał się.

– Ale którym Jeshuą, bo jest ich tam wielu.

– Jeshuą Uzdrowicielem – odrzekł. – Z Nazaretu.

– A co się stało?

– Jeszcze nic – odrzekł. – Obawiam się jednak, kohenie, że może się stać.

– I przychodzisz w sprawie, która ma się stać?

– Tak, rabbi. Boję się, że stanie się coś złego.

– A czemuż to miałoby się stać coś złego?

– Bo On… – zawahał się. – Kohenie, uczniowie ogłosili Jeshuę królem.

– Co ty mówisz… – zaśmiał się znów lewita. – A kimże są ci uczniowie?

– To tylko rybacy, rabbi, ale…

– Możesz mi, bracie, objaśnić, po co rybakom król? – spytał, patrząc na Judasza spokojnym wzrokiem.

– Nie wiem, czy masz, kohenie, tyle czasu, bo to dłuższa opowieść – rzekł. – Chodzi o króla wszystkich.

Lewita przestał się śmiać.

– Ci rybacy chcą króla dla Galilei?

– Nie dla Galilei. Dla wszystkich.

– Zaraz, zaraz… Także dla Judei?

– Dla wszystkich ludzi.

– Cha, cha!… – kohen zaśmiał się w głos.

– Oni chcą – mówił z powagą Iszkariota – żeby Jeshua był królem także dla Rzymian.

Lewita spojrzał na niego, jakby rozmawiał z szaleńcem.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj. Ogłosili Jeszuę królem i… mesjaszem.

– Co?… – Kapłan zbliżył się do Judasza, pochylił i zajrzał mu w oczy. – Powiedz, Nachacie, przysłał cię ów mesjasz, prawda? Ogłosił się królem, a teraz lęka się o życie… – Pokiwał głową. – Czyż nie tak?

– Nie, kohenie. Przychodzę sam.

– Gdzie jest ten twój mesjasz?

– Jest tutaj, rabbi – odrzekł.

– W Jeruzalem?

– Zatrzymali się w Betanii.

– Zatrzymali się?

– Jeshua i jego uczniowie. Są w domu szocheta Łazarza.

Lewita usiadł na zydlu i zakrył dłońmi twarz.

– Kto wie, żeś tu jest? – zapytał, nie podnosząc głowy.

– Nikt, rabbi. – I powtórzył: – Przyszedłem sam.

– A Jeszua?

– Nie wie.

Kohen wstał i podszedł bliżej.

– Nachacie, ty jesteś jednym z nich, prawda?

Uczeń zawahał się.

– Nie. Tak… To znaczy…

– Jesteś z Joshuą Galilejczykiem czy nie?

– Jestem z nimi, ale nie jestem …

– Jesteś czy nie? – spytał po raz trzeci, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Widziano cię z nim.

– Tak – odpowiedział Judasz. – Jestem z Jeshuą. Przyszedłem prosić…
Kapłan machnął ręką.
– Czegoż więc chcesz? – zapytał
– Czcigodny mężu, przyszedłem prosić, abyście zechcieli go uratować.
– Z powodu galilejskiego pomyleńca mam niepokoić Sanhedryn?
– Jeszua to człowiek Boży.
W oczach kohena pojawił się złowrogi błysk.
– Jeśli jest królem, niech ratuje się sam. Niech rozkaże swoim uczniom…
– To oni chcą, by był królem – rzekł Judasz..
– A on nie chce?
– Jeszua nie chce, tylko…
– A czegóż on tu chce?
Uczeń milczał.
– No?
– Jeszua nie chce niczego.
– Ciekawy ten wasz król…
– on chce, byśmy się wzajemnie miłowali – rzekł Judasz i od razu pożałował.
– Tylko tyle? – Lewita uśmiechnął się, wyraźnie rozbawiony. – To jego nauka? Powiedz mu, że uczynimy jak chce, ale po Pesach. A teraz powiedz mu, żeby jak najszybciej wracał do Galilei. W sandałach, w których stoi, i płaszczu, który ma na grzbiecie.
– Tak powtórzę, kohenie. Ale…
– Idź już.
Judasz chciał coś dodać – i zawahał się. Zanim otworzył usta, odezwał się lewita:
– Wielu jest tych uczniów?
Judasz zawahał się.
– Mniej niż legion.
– Legion?
– Tak, rabbi. Nie są jego uczniami, ale są gotowi, by walczyć za Izrael.
– Stu mężów?
– Może więcej. Bo wielu idzie za Jeshuą.
– I stanęli w Jeruzalem?
– W Betanii jest dwunastu. Reszta rozmieściła się tutaj.
Kapłan przygryzł wargę, zerknął na Judasza.
– Są uzbrojeni?
– Mają tylko kilka mieczy.
Usłyszawszy te słowa, lewita zakręcił się jakby posadzka parzyła go w stopy.
– Poczekaj tu – rzekł i wyszedł z komnaty.
Wrócił sam.
– Przyjdź jutro o zmroku – rzekł. – I pytaj tylko o mnie.
– Muszę wracać do Betanii.
Kohen spojrzał, zdając się nie rozumieć.
– Jeszua jest u Łazarza, a ja… – Chciał coś wyjaśnić, ale kapłan przerwał:
– Musisz zostać. Masz się gdzie zatrzymać?
– Mam.
– U kogo?
– U Zcharii.
– Buntownika, który mieszka za Twierdzą? Czekaj tam. I z nikim nie rozmawiaj. Jak będzie trzeba, zostaniesz wezwany.
Chciał powiedzieć więcej, ale zrezygnował. Bocznymi schodami zszedł na świątynny plac. Minął grupę grzejących się przy ogniu i szybko wyszedł na ulicę. Owiał go poranny chłód. Poprawił suknię i otulił się w płaszcz.

FRAGMENT DZIESIĄTY

W którym opowiemy, jak Judasz spotkał dawnego towarzysza Abadona oraz o tym, jak ten prowadził go do swego domu, gdzie zelota zapoznał jego żonę. Oraz o rozmowie, która doprowadziła do niespodziewanego końca spotkania.

Za Twierdzą skręcił w zaułek. Chowały się tam przylepione jeden do drugiego, najskromniejsze domy Jeruzalem. „Gdyby się o siebie nie opierały, przewróciły by się jak starzec bez laski". Przy wejściu do najbliższego obwąchiwał kamienie żółty pies. Wysoko nad domkami, podpierając niebo, bielały w porannym słońcu wieże Świątyni. Judasz obejrzał się. Mimo wczesnej pory ani za nim, ani przed nie było nikogo. Najwidoczniej, kto mógł, uwijał się wokół przygotowań do Pascha, zaś kobiety krzątały się zapewne w domu.

Minął dwa domki, za trzecim skręcił w lewo. Pies, który pozostał z tyłu, podniósł łeb i zaszczekał jak na pożegnanie. Mężczyzna przyspieszył. Wiedziony nawykami spiskowców, starał się być jak najmniej widoczny. Szedł tak blisko ścian, że poły płaszcza omiatały je z żółto-brudnego, dawno nie spłukiwanego przez deszcz kurzu.

Dom starego, otoczony na pół uschniętymi drzewami, znajdował się za basztą. Wszystko było na swoim miejscu – normalne, nieruchome, ciche. Na dachu pusto, drzwi zamknięte. Przez otwór w dachu wydobywał się dym. „Stary jest u siebie", pomyślał. Już wyciągał rękę do kołatki, gdy z sieni dobiegł go czyjś głos. „Zcharia ma gościa". Przylgnął plecami do ściany.

Drzwi uchyliły się i stanął w nich mąż olbrzymiej postury. Był tak blisko, że Judasz poczuł kwaśny zapach jego potu. Mężczyzna go nie zauważył. Mruknął coś do siebie i ruszył ścieżką przez ogródek. Podtrzymywał poły płaszcza tak, jakby obawiał się zamoczyć je w nieistniejących kałużach. Uszedł kilka kroków i zatrzymał się. Przez chwilę stał plecami do domu, czarny i zwalisty, potem, jakby coś usłyszał lub wyczuł, odwrócił się w stronę tyle co opuszczonego domu. Spostrzegł przyklejonego do ściany zelotę – i powoli ruszył w jego stronę. Powinien był uciekać, ale stał niczym słup, którego podstawa wrosła w ziemię. Gdy olbrzym znalazł się o kilka sążni, zatrzymał się.

– Nachat?... – zapytał.

Wówczas Judasz poznał go.

– Abadon?

– Ty tutaj? – zapytał. I dodał szybko: – Chodźmy stąd.

– Tak, bracie – odpowiedział Judasz, tracąc oddech, po czym podążył za nim.

– Rozdzielimy się, ale idź za mną – powiedział Abadon. – Trzeba nam pójść nową drogą.

Z początku kluczyli labiryntem podobnych do siebie przejść, gdzie domy wyglądały jakby wzniosła je ręka jednego budowniczego. Potem weszli w obszerne, zamknięte ze wszystkich stron patio. Przewodnik przemierzył kamienny podwórzec i wszedł w jego ciemny kąt. „Jakby się rozpłynął", pomyślał. Stracił już z oczu wieże Herodowego pałacu, nie było też widać murów Świątyni ani innego punktu, który ułatwiałby orientację. Ruszył więc w stronę, gdzie przewodnik przepadł. Spostrzegł niskie niczym wiodące do komórki drzwi, pchnął je – i przekroczył próg.

Przejście wyprowadziło go na wąski przesmyk. W cieniu domów czekał Abadon. „Gdzie on mnie prowadzi?", zastanawiał się. Chciał zrównać się z nim i dopytać, ale ten szybkim krokiem ruszył dalej. Po chwili przystanął. Stał i rozglądał się. Uliczka wyglądała na ślepą. Na jej końcu ciemniało ledwie widoczne przejście. Było wąskie niczym ucho igły, nie większe niż na drobnego męża. Przywarł do ściany i patrzył, jak przewodnik przeciska się na drugą stronę.

Znaleźli się na pełnej ludzi, szumiącej odgłosami ulicy. Po jej stronach ciągnęły się zajęte wszelkimi towarami sklepy. Zaskoczony, przystanął. Musiał być na głównym bazarze miasta. Zdążył odwyknąć od takiego widoku. Obfitość tkanin, ozdób i świecidełek, garnków i domowego sprzętu, wymieszana z zapachami przypraw i ziół, cierpkim odorem ryb i duszącym surowego mięsa wydała mu się tyleż nienaturalna, co tajemnicza. Nie tracąc towarzysza z oczu, ostrożnie przeciskał się między ludźmi. Tłum kupujących falował jak w malignie. Wiszące nad straganami lampiony, zapalone dla panującego tu mroku, poruszane lekkim wiatrem, huśtały się, wydłużając cienie postaci. Zdawali się poruszać w dwójnasób: najpierw sami, potem wprawieni w ruch przez abażury. Inny też niż w Nazaret był tu gwar. Jednak kupcy i klientela nie wykrzykiwali dziś ni tar-

gowali jak zwykle, lecz wyciszeni zbliżającą się Paschą zniżali głos tak, że pozostawał z niego szept. Chwilami przerywał je krótki, od razu tłumiony, śmiech.

Sandał Judasza osunął się na kamieniach i spiskowiec, straciwszy równowagę, niemal nie przewrócił się na bruk. W ostatniej chwili zdążył się wesprzeć na dłoniach. Usiadł na ulicy, zdziwiony i zaskoczony tym, co się stało. Zamiast jednak wstać, usiedział i rozglądał się dokoła. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nogi przechodniów mijały go tyleż pospiesznie, co obojętnie. Wtedy, siedząc na kamieniach niczym pijak, usłyszał coś, co wprawiło go w zdziwienie. Odgłosy Jerozalem, które przed chwilą były szmerem ludzkiej mowy, stamtąd zdawały się być inne. Były ponad nim, niskie i niewyraźne, zaś z dołu docierały do niego inne. Dolatywały jak z piwnic i podziemnych przejść Świętego Miasta. Jakby pod kamiennymi płytami, na których przysiadł, w lochach czy brzuchu świętej siedziby Adonai, wzdychała przez sen ranna lub chora istota.

– Co z tobą? – usłyszał nad sobą głos Abadona.

Judasz podniósł się i otrzepał suknię.

– Poślizgnąłem się.

Ruszyli dalej, Judasz kilka sążni za Abadonem. Za chwilę znów znaleźli się w opustoszałej części miasta. Abadon doszedł do wylotu ulicy i zniknął za rogiem. Judasz dotarł do tego miejsca i poszukał swojego przewodnika oczyma. Ale towarzysza znów nie było. Judasz rozejrzał się na strony, spojrzał raz jeszcze w głąb ulicy – tam też ani śladu. „To jakiś labirynt, w co on się bawi?" Kilku okutanych w chałaty przechodniów szło rozmawiając i gestykulując, żaden z nich nie był jego towarzyszem. Zatrzymał się nie wiedząc, co począć, zajęta rozmową grupka minęła go i poszła, nie zwróciwszy na niego uwagi. „Gdy zobaczy, że mnie nie ma, wróci", pomyślał.

Ale Abadon zniknął znów. Minęła chwila, potem druga. Ogarnął go niepokój. Postanowił poczekać, a jeśli towarzysz się nie pojawi, wróci do Zacharyasza.

Towarzysz wyszedł z bocznej uliczki.

– Zgubiłeś się – powiedział. – Uważaj na mnie, zaraz będziemy w domu.

Ruszył, Judasz za nim. Nadal zostawał z tyłu, już nie więcej niż rzut kamieniem. Pilnował się, aby nie zgubić go z oczu. Ten doszedł do placyku, z którego było widać świątynne mury. Stojące naprzeciwko, okazałe domy oświetlało południowe słońce. Abadon, tkwiąc na schodkach jednego z nich, posyłał Judaszowi znaki.

Czekał na niego w korytarzu. Odebrał płaszcz, przeprowadził przez próg. Izbę rozświetlały licznie porozstawiane lampki.

– Więc żyjesz… – zaczął gospodarz, usadzając go na ławie. – Myśleliśmy, że rozerwał cię dziki zwierz. Ktoś znalazł twoją tunikę, a Tamar ją rozpoznała.

– A ty? – zwrócił się do Abadona – Jak ci się udało?

– Wszystko opowiem. Jeśli zechcesz, możesz u mnie zanocować, miejsca jest wiele. Podobno byłeś w Aleksandrii?

Judasz pokręcił głową.

– W Galilei – odpowiedział. – A tobie – powtórzył – jak się udało?

– Nikt mnie nie szukał. Ukrywałem się, potem wróciłem. Później dowiedziałem się, że szukali jakiegoś Samsona.

– A inni?

– Nie powiedzieli słowa.

– Nie żyją?

– Tak, bracie – westchnął. Pierś Abadona podniosła się, stała jeszcze większą, potem opadła niczym kozi miech. – Wyłapali ich, nim dotarli do Aleksandrii.

– To kto żyje – ty i ja?

– I Zcharia. My trzej oraz Bar-Abba.

– Bar żyje?

– Jest w więzieniu – westchnął Abadon. – Ale mają go uwolnić. Jeżeli nie uwolnią, też nic mu nie zrobią – dodał nalewając gościowi wina. – Wiedzą, że lud go kocha.

– To nic nie znaczy – powiedział Judasz i wzruszył ramionami. – Zawdajów też lud kochał. Przybiją go do pala albo zamęczą w lochu.

– Nadchodzi dzień, w którym można go uwolnić – rzekł gospodarz powoli. – Dobrze, że jesteś, pójdziesz z nami pod pałac Heroda.

– Z nami?

– Nie jestem sam… – uśmiechnął się, dodając: – Spisek działa, są w nim nowi ludzie. W poranek przed Pesach kilku z nas będzie pod pałacem. Gdy Piłat spyta, kogo wypuścić, będziemy dopominać się o Bar-Abbę.

– Skąd wiesz, że Piłat spyta?

Abadon zaśmiał się.

– Wiem,. Zapyta o dwóch złoczyńców, kogo skazać. Bar będzie wolny, Rzymianie nie są źli…

– Przybijają do pala, a ty mówisz, że nie są źli.

– Złoczyńców, tylko złoczyńców... – Gospodarz nachylił się w stronę Judasza i ujął go za przegub. – Zobacz to inaczej, Nachacie… Przecież oni muszą tu być. Rzym nie może sobie pozwolić, by traktem do Egiptu rządziły bandy. My jesteśmy teraz za słabi, aby się obronić. Jeśli nie oni, wejdą tu Partowie albo inne drapieżne wilki. Poza tym, jak wiesz, sami ich tu zawołaliśmy.

Judasz milczał.

– Więc Bar-Abba żyje… – powiedział bardziej do siebie niż towarzysza.

– Schwytali go w Betanii – wyjaśnił gospodarz.

– Przecież był w Antiochii?

– Był tutaj. Niektórzy twierdzą, że był i wrócił.

– Ależ to pewna śmierć.

Abadon rozłożył ręce.

– Ty też wróciłeś.

– Ze mną jest inaczej… – Judasz zawahał się. Chciał powiedzieć o Jeshui, zdał sobie jednak sprawę, że to nazbyt zawiłe. – Dodał: – Abadonie, muszę jeszcze gdzieś zajść.

– Zostań u mnie, bracie.

– Zanocuję u ciebie jutro, dobrze? Muszę kogoś odwiedzić. A wiesz – zmienił temat – gdy się poślizgnąłem, słyszałem…

Kotara w drzwiach odchyliła się i do izby weszła kobieta. Jej cera, jasne włosy i okrywająca ramiona palla świadczyły, że nie jest Żydówką. Niewiasta spojrzała na Abadona, który kiwnął jej głową. Przeszła obok stołu i zniknęła w drugim pomieszczeniu.

– To Julita – wyjaśnił Abadon. – Dała mi dwóch synów. Przez rok przynosiła do kryjówki jedzenie.

– T-to rzymianka – rzekł Judasz cicho, nie kryjąc zdziwienia.

– Jest nasza, Nachacie – odpowiedział Abadon jeszcze ciszej. – To od niej wiem, że mają uwolnić Bar-Abbę. Jest bardziej nasza niż Tamar – dokończył i zaśmiał się. Ten śmiech miał w sobie coś nienaturalnego. Judasz nie pamiętał, by Abadon śmiał się w taki sposób. Chciał jeszcze raz spytać o rzymiankę, ale kobieta wróciła. Przesunęła lampkę i postawiła na środku dzban. Po chwili przyniosła misę z rybami. Gdy podała kubki, odsunęła się od stołu i usiadła w rogu izby.

– Oni chcą spokoju – odezwał się Abadon. – Chcą żyć w zgodzie. Powiedz… – położył dłoń na ramieniu Judasza – naprawdę byłeś w Galilei?

– Tak – odparł Judasz i mimowolnie spojrzał w kąt izby. – W Nazaret – dodał z ociąganiem. Myślał o tym, że musi zwracać się także do tej rzymianki.

– A co tam robić? – śmiał się znowu Abadon. – Co robiłeś w podłym Nazaret?

– Oni nie są gorsi, Abadonie. Nazaret nie jest podlejsze niż miasta Judei.

– Teraz to wymyśliłeś, bracie? – mówił, dzieląc rybę.

Gdy zaczęli jeść, kobieta wstała i usiadła obok Abadona. Judasz starał się nie patrzeć. Nie mógł oswoić się z myślą, że rzymska gojka może naprawdę być ich.

Abadon skubał chleb.

– Czy w Nazaret są spiskowcy? Przyłączyłeś się do nich?

Judasz przełknął kęs i sięgnął po kubek. Zanim zdążył odpowiedzieć, Abadon spytał znów:

– A może jesteś wysłannikiem? Powiedz, czy uważają, że powinniśmy się z nimi połączyć?

Zdziwił się tym pytaniom. Podniósł oczy, jednak powieki Abadona były na pół przymknięte. „Dlaczego – pomyślał – rozmawia o tym przy rzymiance? Przecież nawet jeśli jest ich, nie powinien przy niej rozpytywać o takie sprawy".

Wtedy przypomniało mu się spotkanie z lewitą. Obydwie rozmowy miały ze sobą coś wspólnego. Coś je łączyło. Zdał sobie sprawę, że żadnemu z nich nie byłby gotów powiedzieć całej prawdy.

Abadon sięgnął po dzban.

– Zostań u mnie – rzekł. – Pójdziemy razem pod pałac.

– Muszę jeszcze coś przygotować. Słyszałeś o Jeshui z Nazaret? – spytał i w tej samej chwili pożałował.

– Tym, który zdradził Johanana?

Judasz odsunął misę.

– Jeshua nikogo nie zdradził – rzekł powoli. – Kim jest ten, który rzuca takie oszczerstwa?

– Uspokój się, Nachat…

Ale uczeń nie był w stanie opanować wzburzenia. Wstał od stołu i zaczął krążyć po izbie. Chodził od ściany do ściany krokiem tak zdecydowanym, jakby maszerował. Abadonowi wydało się, że za chwilę uderzy w którąś ze ścian. Zatrzymał się przy Abadonie tak blisko, że tamten musiał się podnieść. Kobieta też wstała.

– Jak możesz mówić tak o Jeshui?!...

– Powtarzam tylko, co słyszałem.

– Co słyszałeś?

– Że zdradził Johanana ludziom Antypasa, aby zająć jego miejsce. I odebrać uczniów.

– Jeszua nikogo nie zdradził! Ktoś, jak on, nawet by tego nie potrafił. To mąż święty!...

– A jednak mówią, że odebrał mu braci.

– Nieprawda!

– Opuścili Johanana i poszli za nim – dodał Abadon twardo.

– To potwarz!… Przyszli do Jeshuy, gdy Johanan był więziony!… – wyrzucił z siebie jednym tchem. Wzburzenie dusiło go w gardle, z trudem wymawiał słowa. – Podłość, po trzykroć podłość! – Uderzał pięścią o pięść, że słychać było chrobotanie knykci. Potem raz jeszcze obszedł susami ławę. Gdy znalazł się blisko drzwi, wypadł na ulicę. W izbie zapadła cisza.

– Obraziłeś gościa – odezwała się Julita.

– To tylko Judasz… – odrzekł. Kobieta spojrzała na niego tak, że pożałował wypowiedzianych słów.

Kilka chwil później Abadon wyszedł przed dom. „Chyba – pomyślał – się przed nim zdradziłem. Przed Julitą też… Muszę to naprawić, gdy wróci po płaszcz."

Przez ulicę, jak okiem sięgnąć, przeciągały większe i mniejsze grupy pątników. Abadon stał na progu i wyglądał wśród nich Nachata, zwanego w Nazaret Judaszem. Ale Judasz nie wracał. Na płaskich dachach Jeruzalem wygrzewały się krótkie, południowe cienie.

FRAGMENT JEDENASTY

O tym, o co prosił Judasz w rozmowie z trzema kapłanami oraz co mu odpowiedzieli.

Przepychając się przez tłum, dotarł do pałacu. Zastukał do drzwi. Otworzył mu ten sam strażnik.

– Ja do… – zaczął. Sługa bez słowa wpuścił go do środka i poprowadził korytarzem do obszernej, oświetlonej dwiema menorami sali. Potem zniknął. Judasz został sam.

Nie czekał długo. Do sali wszedł lewita.

– Chodź za mną – rzekł i skierował się ku schodom.

Znów szli długo. Prawie tak długo, jak rankiem. Lewita otwierał coraz to nowe drzwi, wspinał się o kilka stopni, a potem schodził, niemal nie bacząc na podążającego za nim Judasza. Wreszcie dotarli do celu. Kohen podniósł zasłonę i pchnął odrzwia komnaty. Wpuścił go przodem, sam stanął za nim. Zasłaniał wejście tak, jakby pilnowanie należało do jego zajęć.

W świetle świeczników siedzieli trzej kapłani. Byli ubrani w odświętne, połyskujące srebrem szaty. Kapłan w środku trzymał coś na kolanach.

– Podejdź – rzekł siedzący po prawicy. Gdy Judasz przybliżył się, spytał: – Z czym przychodzisz?

– Przyszedłem prosić, abyście, zacni mężowie, ocalili Jeszuę.

Cisza, która zapanowała po tych słowach, była jak studnia. Judasz poczuł, że osuwa się na jej dno. Spojrzał w stronę kapłanów. Ich twarze były nieruchome niczym u egipskich posągów.

– Czego on szuka w Jeruzalem? – odezwał się ten z prawej.

– Przyszliśmy na Paschę.

– Nie trzeba było przychodzić.

Judasz nie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

– Nie rozumiesz, co mówię? Po co ten Jeszua przyszedł? – Kohen pogładził brodę, poprawił frędzle przy rękawach i, kręcąc głową, spytał: – Żeby ogłosić się mesjaszem?

Zelota stał jak uczeń w chederze. Kapłan podniósł się z fotela, oparł rękę o poręcz, drugą podniósł w górę i trzymał, jakby groził.

– Trzeci mesjasz w tym miesiącu! Chyba wiesz, co mówi Tora o fałszywych prorokach? Gawiedź bierze go za króla… – powiedział kohen i wzruszył ramionami.

– Jeśli dostanie się w ręce Rzymian, ci go upalują.

Kapłan rozłożył ręce.

– Nie będziemy winni tej krwi. Czyż nie przestrzegaliśmy go przez faryzeuszy?

– Jeszua nie czyni nic złego, on tylko pragnie, aby ludzie…

– Czego pragnie ten twój Jeshua?

– Żeby ludzie się wzajemnie miłowali.

Kapłani spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się.

– My też tego chcemy, bracie – odezwał się ten, który do tej pory milczał. – Możesz mu to powiedzieć. I powiedz, że istnieje świat, który rządzi się innymi prawami. Rządzi się od zawsze. Bo on chyba tego nie wie. Po co podburza lud? Czemu mówi rzeczy, które tłuszcza chce słyszeć? Czemu nie głosi o innych ścieżkach, trudnej drodze Jahwe? – Kapłan obejrzał wierzch, potem wnętrze dłoni i westchnął: – Niech ucieka. Niech ten nieszczęsny Galilejczyk ucieka. Bo jeśli go pojmają, nic nie da się zrobić. Nikt nie będzie rozważał, czy on prorok, czy szalony.

– On nie wie, co czyni… – wyrwało się Judaszowi.

– Jesteś pewny? – odezwał się ów, który siedział pośrodku. Jego głos był spokojny i cichy, a jednak było go słychać najlepiej. – Jeszua dobrze wie, czego chce. Przecież głosił to w Nazaret. Już wówczas powinien stanąć przed Sanhedrynem…

– Ilu macie zbrojnych? – zapytał środkowy kapłan. – Mówią, że legion.

– To nie tak – zaprzeczył Judasz z ożywieniem. – Mają kilka mieczy.

– I z paroma mieczami chcecie się rzucić na Rzym?

– To nie Jeshua chce, czcigodni, on chce pokoju.

– Czy wiesz, co się stanie, jeśli spisek wybuchnie? Dziś, gdy miasto pełne ludu? Wywołać rebelię łatwo, zawsze znajdzie się kilka gorących głów, tylko potem… Zapomnieliście, co było z Machabeuszami? Ulice jak potoki krwi!…

– Czcigodni mężowie, jeśli go nie ochronicie…

– Ty go kochasz, prawda? To dobrze, ale widzisz, prócz niego istnieje Izrael. Trzeba kochać cały lud Boży. I ocalić go od zguby. Zostawcie to nam, zajmijcie się rybami a nie tym, o czym nie macie pojęcia.

– Czyż nie widzicie, że Rzym jest potężny? – zapytał drugi. – Wybawienie jest tylko w Jahwe, on uratuje Izraela. Na pewno nie uratuje Żydów mesjasz z Galilei.

– Rzymianie przybiją go…

– Niech wraca do Nazaret, jak szybko potrafi. – przerwał mu znowu kohen. – A jeśli… Czyż nie lepiej, jeśli zginie jeden, niźli cały naród? Świat nie kończy się na rybakach.

– Możecie go… uwięzić. Ja go przyprowadzę.

Kapłani spojrzeli po sobie.

– Przyprowadzisz Jeszuę tutaj? – zapytał kapłan, który siedział pośrodku. Zmrużył oczy i zastanawiał się. Po namyśle odpowiedział: – Nie, bracie. My mu damy schronienie, a oni powiedzą, że ukrywamy podżegacza. Niech wraca do Galilei, póki nie za późno.

– Jeszua nie posłucha.

– Idź już. Nikt nie powinien cię tu widzieć.

– Rzymianie go zabiją!… – powtórzył Judasz kolejny raz.

– A chcesz, żeby pozabijali nas? – Kapłan wychylił się do przodu i niespodziewanie ujął go za rękę. Bądź rozsądny… Jeżeli usłyszą o królu, uczynią, co muszą. To, że jest niewinny czy szalony, nie będzie miało znaczenia. Czasem przychodzi taki dzień, że ktoś musi zginąć.

Przerwał, bo w tym momencie w rogu sali otworzyły się drzwi. Mąż o greckich rysach, ubrany jak kupiec, szedł szybkim krokiem w kierunku kapłanów. Podszedł do nich i, nachyliwszy się do ucha kohena, szeptał mu jakąś nowinę. Skończył, skłonił się i odsunął.

– Jesteś pewny, że to on? – zapytał przybysza.

– Na głowę mego ojca, kohenie – odrzekł kupiec i skłonił się. – Sam widziałem.

Judasz zrozumiał, że stało się coś złego.

– Był z nim ktoś? – spytał kapłan kupca.

– Wszyscy uczniowie.

Dziękujemy ci, Eforosie, możesz iść – powiedział do przybysza. Ten oddalił się równie pospiesznie, jak przyszedł. Kapłani szeptali między sobą, poruszeni i zdziwieni. Trzeci z kohenów wstał i zaczął się przyglądać Judaszowi.

– Byłeś dziś na placu przy Świątyni? – spytał.

– N-n-nie… Nocowałem u Zachariasza.

– Twój mesjasz napadł na kupców.

Judasz patrzył na kapłanów, nie rozumiejąc.

– Kupców?

– Sprzedających zwierzęta ofiarne. Przy Świątyni, Nachacie.

– T-to nie… On nie mógł tego zrobić, on jest w Bet-Anii.

– Jest wielu świadków i dużo skarg.

– Jeshua… – wymamrotał. Stał a nogi wrastały mu w posadzkę. – Jeszua to pobożny Żyd.

– Poprzewracał stoły, a kupców wysmagał powrozem – słyszał jak przez mgłę słowa kohena. – Taki pobożny. Zanurzyciel czynił mniej, a skazano go na śmierć.

– Bo tak trzeba – odezwał się drugi. – Być bez miłosierdzia. Musimy chronić tych proroków przed nimi samymi.

Powiedziawszy to, rozłożył ręce i zamilkł. Milczenie trwało kilka chwil, a każda z nich zdawała się być po to, aby lepiej dotarły do zeloty wszystkie z wypowiedzianych słów. Potem odezwał się trzeci:

– Ten twój Jeszua prosi się o ukamienowanie. – Westchnął i rozłożył ręce. – Idź już. Jeśli ktoś prosi się o śmierć, nikt z żywych nic nie może.

FRAGMENT DWUNASTY

W którym opowiemy o spotkaniu strachliwych członków Sanhedrynu z arcykapłanem Annaszem ben Seti

Naradzali się krótko. Pół godziny po drugiej ofierze i niepełną godzinę od chwili, w której Judasz opuścił pałac, trzej kapłani zawołali posłańca. Nie ucichły dźwięki wieczornych trąb, a chłopiec biegł do Annasza z pytaniem, czy arcykapłan zechce ich przyjąć.

– Przekaż kapłanom – polecił Annasz – że będę ich oczekiwać.

Gdy posłaniec wyszedł, arcykapłan klasnął na sługę. Do komnaty wszedł lewita Malchos.

– Idź do nassima Kajfasza i spytaj, czy może przyjść.

Kajfasz zjawił się po kilku chwilach.

– Będziemy mieli gości – powitał go Annasz.

– O tej porze?

– Trzech ze stronnictwa drżących.

– Coś się stało?

Annasz znów klasnął. Dwóch chłopców wniosło cztery menory i amforę z wodą. Postawili dzban na stole, menory w rogach komnaty, po czym znikli.

– Domyślasz się, czego mogą chcieć?

Annasz podszedł do okna i wyjrzał w mrok.

– Zaraz się dowiemy, już idą.

Gdy kohenowie weszli, pierwsze co Kajfa zauważył, to ich ubiór. Mieli na sobie płaszcze z wielbłądziej wełny, ale na biodrach zwykłe pasy gminu. Annasz obrzucił strój szybkim, drwiącym wzrokiem.

– Co zaniepokoiło was, mężowie, że musieliście przebrać się w podróżne szaty o tak późnej porze?

– Dziękujemy wam – tobie, arcykapłanie Annaszu i tobie, arcykapłanie Kajfo – że zechcieliście przyjąć nas o późnej porze… – zaczął ten, który podczas rozmowy z Judaszem nie odezwał się ani razu. – Zdecydowaliśmy się was niepokoić, bo obawiamy się, że w dni Paschy może dojść do rozruchów.

– Czy stało się coś, o czym powinniśmy wiedzieć? – spytał Annasz.

– Chodzi o Jeszuę z Galilei – wyjaśnił ten, którego zwano Antybułem.

– Wiem o nim – rzekł stary arcykapłan. – Uzdrowiciel przybył do miasta i wysmagał kupców. Dobrze im to zrobi, za bardzo się panoszą.

Przybysze, zaskoczeni taką mową, spojrzeli po sobie.

– Nie rozumiem – ciągnął Annasz – jak można było pozwolić, aby dotarł aż tutaj. Co robili ci, którzy mieli go pilnować?

Goście milczeli. Wtedy Annasz spytał:

– Czy wydarzyło się coś jeszcze?

– Ten Jeszua wjechał do Jeruzalem niczym Eliasz, a lud ogłosił go królem – powiedział ów, którego zwano Antybuł.

– Lud? Iluż ich było? – Annasz wskazał im fotele.

– Uczniów? – upewnił się Antybuł.

– Ludu.

– Zatarasowali Bramę Owczą.

– To mała brama. Są tam nadal?

– Śpiewali przed Jeshuą „Hosanna Synowi Dawidowemu".

– Pośpiewali i się rozeszli. Czyż nie tak?

– Nie od razu, bo potem śpiewali inne… – odrzekł Antybuł.

– Nic się nie stanie, jeśli lud pośpiewa – uciął Annasz. – To nie powód, by się niepokoić. – I dodał, łagodniejąc: – Musimy działać ostrożnie. Piłat obiecał, że zwróci na Święto Pesach szaty. A co oni tam śpiewali, Antybule?

– Nie śmiemy powtórzyć podłych oszczerstw, arcykapłanie. One tylko z pozoru dotyczą ciebie, a w istocie obrażają Sanhedryn.

– Wszystkich? Bądź łaskawy i zaśpiewaj tę piosenkę!

– Śpiewali, że lękają się waszego domu…

– To i dobrze. Mów dalej.

– Że boją się donosów oraz świątobliwych pałek.

Arcykapłan uśmiechnął się.

– A rzymskiego miecza się nie boją? Czy mogę prosić, byś ją zaśpiewał?

– Nigdy bym się nie odważył… – odrzekł Antybuł, z trudem hamując wściekłość.

– Antybule, nie daj się upraszać!…

Kapłan przełknął ślinę i, czerwony, zaczął nie tyle śpiewać, co mówić:

…Lękam się domu Annasz: lękam się ich donosów!…
Bo są oni arcykapłanami, a ich synowie skarbnikami,
A ich zięciowie zarządcami, a ich słudzy biją lud kijami…

– wydukał i zatrzymał się.

Arcykapłan udawał rozbawienie. Po chwili nasrożył się i rzekł:

– Dobrze, wystarczy… – Poprawił poły, pogładził brodę. Kohenowie czekali.

– Czy ten Jeszua mówił coś, co warte uwagi?

– Mówił, że zburzy Świątynię…

– Ciekawe… – pokręcił głową.

– Że zburzy i w trzy dni odbuduje.

– To dobrze – zaśmiał się. – Sam? – I, nie doczekawszy odpowiedzi, zmienił ton: – Gdzie mieszka ten Dawidowy syn?

– W Bet-Anii, w domu niejakiego Łazarza. Tak doniósł nam Nachat.

– Nachat?

– Jest jednym z nich. Przyszedł prosić, abyśmy go ocalili.

– A coś grozi temu Nachatowi?

– Nie jemu. Prosił, byśmy ocalili Jeszuę. Uczniowie ogłosili, że Jeszua to mesjasz. Przybył do Jeruzalem, by ustanowić Boże Królestwo.

– Królestwo, mówisz? – Twarz Annasza zmieniła wyraz. Zasępił się, potem odezwał tak cicho, że niemal nie było go słychać: – Trzeba było zacząć od tego. Co jeszcze powiedział ten Nachat?

– Że mają ze sobą miecze.

– Toż to szaleńcy – odrzekł, kręcąc głową. – Ilu ich jest?

– W Betanii dwunastu, ale wielu w mieście. Ukryli się wśród pielgrzymów i czekają na znak. Nasi ludzie są wśród nich. Powstańcy chcą uderzyć na Pałac Heroda, zgładzić Piłata, potem wyprzeć kohorty z miasta i całej Judei.

– Czy Rzymianie wiedzą, że Jeshua ogłosił się królem?

– Nie wiemy. Nie mamy wśród nich nikogo.

– A o spisku?

– Nie wiemy, arcykapłanie.

Annasz zawahał się:

– A faryzeusze… – spytał – Czy mają z tym coś wspólnego?

– Także o tym nic nam nie wiadomo.

– Byłoby lepiej, gdyby mieli… – rzekł i zamyślił się. – A co z Barabaszem?

– Jest w więzieniu.

Arcykapłan podszedł do okna. Miasto w dole układało się do snu. Annasz długo patrzył w ciemność. Potem odezwał się mocnym głosem:

– Trzeba sprowadzić tu tego Jeshuę. Koniecznie przed Paschą. I działać tak, aby Rzymianie niczego nie spostrzegli. Najlepiej natychmiast.

– Nachat powiedział, że może go przyprowadzić.

– Tak? – zdziwił się. – Więc nawet w Galilei zdarza się ktoś mądry.

– On jest z Kiriath, kohenie.

– Mniejsza o to, niech przyprowadzi tego mesjasza. Zapewnijcie go o sowitej nagrodzie.

– Nachat nie przyjmie pieniędzy – odezwał się najmłodszy z przybyłych. – Jest jego uczniem.

Annasz nie krył zdumienia.

– Chce go ocalić – wyjaśnił. – On go kocha.

– Tym gorzej dla niego – odrzekł arcykapłan. – Niech przyprowadzi go do mnie.

– Tak mu każemy.

Stary kapłan stał przy oknie. Myślał o innym Galilejczyku, Judzie, a zaraz po nim o dzielnym Szimonie z Perei. Dobrze pamiętał, czym skończyły się ich bunty.

– Czy wystarczy, jeśli zatrzymamy Jeszuę? – spytał, ocknąwszy się z zamyślenia. – Nie ma między nimi takiego, który spróbuje go zastąpić?

– Raczej nie – wtrącił Kajfasz.

– Musimy mieć pewność.

– To rybacy i wieśniacy.

– Złączą się z szaleńcami z Jeruzalem i…

– Uczniowie Joshuy nie mają tu nikogo i nie znają Jeruzalem – odezwał się Antybuł.

– Jesteś pewny?

– Tylko Nachat zna. Mieszkał tu i należał do spisku.

– Tak? – zaciekawił się Annasz. – Którego spisku?

– Był u Bar-Abby, ze Zchарią i Abadonem.

– Nie spuszczajcie tych rybaków z oczu. Dziękuję, żeście przyszli, niech Adonai ma was w opiece.

– Nie śmiemy spytać, co zamierzasz z tym Jeshuą zrobić…

– Byłoby dobrze, gdyby opuścił Jeruzalem.

– Obawiamy się, Annaszu, że Jeszua nie zechce tego zrobić.

– Wtedy trzeba przetrzymać go przez Pesach, a potem… Potem pognamy jak Azazela.

Zaskoczeni goście chwilę stali bez ruchu, po czym złożyli arcykapłanowi ukłon i powoli ruszyli ku wyjściu. Annasz, a wraz z nim Kajfa, odprowadzili ich do drzwi. Tam uścisnęli się i raz jeszcze schylili głowy.

Gdy drżący opuścili pałac, stary arcykapłan zwrócił się do Kajfasza:

– Wyglądali jak przebierańcy. – Uśmiechnął się. – Jeśli ktoś cię nienawidzi, musisz spowodować, by się bał. – Przemierzył komnatę, wyjrzał przez okno. – Właśnie dlatego trzeba być arcykapłanem.

– Ojcze – odezwał się Kajfa – nie rozumiem zamysłów tego Jeshuy. Myślisz, że zamierzył bunt w Pesach? To byłaby wielka bezbożność.

– Tak mogą mniemać tylko Drżący. Ale może wzniecić powstanie po Święcie. Jest w Jeruzalem wiele ludu, to okazja, aby wciągnąć go do walki. Nie wiemy, ilu przybyło zelotów.

– A faryzeusze… Czemu pytałeś o faryzeuszy? Myślisz, że mogą być w to wmieszani?

– Moreni Jeszua potępia faryzeuszy, ale o wielu sprawach mówi to, co oni. Jeśli ktoś zdecydował o buncie, to nie Jeszua. Garstka rybaków nie zdobędzie Jeruzalem. Ale jeżeli faryzeusze ogłoszą, że Jeszua jest mesjasz, to pociągnie on lud za sobą.

– Jeżeli Piłat wie o spisku, to uderzy. Nie ma dla niego lepszego momentu niż Pesach.

– Dobrze to rozumiesz, synu.

– Czy sądzisz, że tego chcą?

– Nie można dopuścić godziny, w której będą musieli.

– Piłat nie chce. Bunt sprawi, że odwołają go do Rzymu.

– Tak. Zaś to, co jest, jest dla niego dobre.

– Służy nie tylko jemu.

– Wielu naszych żyje z Rzymian. Jeśli będzie bunt, wesprą Piłata.

– Nie wierzę, ojcze…

– Pieniądze tłumaczą wszystko. Ale to nie jest zmartwienie. Niech handlują z nieczystymi, trudno – taki nastał czas. A nam nic nie jest tak potrzebne, jak pojednanie. Mówiłem te słowa w Jom Kipur i będę powtarzał zawsze. Musimy czekać. Adonai jest wieczny, Rzym nie. Nim będziemy gotowi, nie wolno kłaść na szalę narodu.

– W tym faryzeusze mają rację.

– Tak, synu, to prawda. Teraz trzeba budować szkoły i synagogi, na resztę przyjdzie czas.

Wielki zamęt panuje w ludzkich głowach. Ten Jeszua nie wie, z czym igra. Uważałem go za mądrzejszego. Był mądry, gdy kazał miłować nieprzyjaciół. Mógłby być głosem mówiącym do ludu. Teraz widzę, że źle go szacowałem. A ten Nachat to niepewny człowiek.

Kajfa pokiwał głową.

– Jest w nim coś ciemnego. Przyszedł do Sanhedrynu, może udać się i do Rzymian.

Stary arcykapłan ujął zięcia za dłonie:

– Cieszę się, że to ty jesteś nassimem – powiedział patrząc mu w oczy. – Nie można zostawiać spraw w rękach błaznów. Trzeba działać ostrożnie, ale stanowczo – dodał. – Zaraz poślę Malchosa po dowódcę straży i niech zatrzymają obu. A Barabasz na pewno bezpieczny?

– Jest w więzieniu.

– Miejmy nadzieję, że Piłat go nie uwolni – powiedział Annasz i jeszcze raz uścisnął dłonie zięcia.

„Dziwny ten mój teść – myślał Kajfa w drodze do domu. – Nakazuje się jednać, a obrażał Antybuła tysiącem słów…"

Potem, już po ostatniej modlitwie, przypomniał sobie to, co mówiono mu o nauczaniu Jeszui i miłosierdziu jakiegoś Samarytanina. Była to zadziwiająca opowieść. „Jak wielki ten nauczyciel musi mieć chaos w głowie – myślał. – Albo nie zna Prawa, albo nie rozumie, że kohen nie dotknie rannego, bo stanie się nieczysty".

Zastanawiał się jeszcze nad tym, leżąc już obok żony. Wkrótce porzucił rozważania i odwrócił się do córki Annany. Kilka chwil później zasnął najsprawiedliwszym ze snów.

W godzinie, w której małżeńskie pochrapywania napełniały komnatę, Annasz kończył rozmowę z komendantem straży.

– Tak się stanie, czcigodny – zapewniał dowódca, który nigdy nie kładł się spać. – Rozpoznamy go z łatwością. Widziałem go, gdy przewracał stragany. A Nachata moi ludzie pilnują – dodał i gestem subordynacji poprawił fałdy tuniki.

– Zatrzymasz Jeszuę pod zarzutem zakłócania porządku – powiedział Annasz. – Najlepiej, jeśli stanie się to po zmierzchu. Rano Wysoka Rada podejmie uchwałę – westchnął. – Zaś ten Nachat… przyjdzie do ciebie sam. Zatrzymał się u buntownika Zcharii. – I innym tonem dodał: – Oto są skutki pobłażania. Najpierw się uzdrawia, potem naucza, później odrzuca Prawo.

– Będzie, jak powiedziałeś. Zostaną doprowadzeni przed Wysoką Radę.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego nie pojmano Nazareńczyka, gdy bezcześcił święte miejsce.

– Niestety, nie dopilnowałem – i proszę zwolnić mnie z obowiązków. – Okolona rudym zarostem twarz komendanta była pąsowa niczym rozkrojony arbuz.

– Dobrze wiesz, że tego nie uczynię. Nie było w Izraelu męża, który by lepiej pilnował Świątyni.

– Dziękuję, arcykapłanie – odrzekł komendant i pokłonił się najniżej, jak umiał. – Każę ludziom mieć większe baczenie na takich mesjaszy.

– Myliłem się co do Abadona. Nie myślałem, że okaże się przydatny.

Dowódca skłonił głowę.

– To zasługa Zcharii, świątobliwy mężu.

– Dziękuję, że przybyłeś na późne wezwanie – mówił Annasz odprowadzając komendanta do wyjścia. – Najwyżej cenię w tobie to, że nigdy nie przypisujesz sobie zasług przynależnych innym.

Dowódca wyszedł, a stary Annasz udał się do swojej komnaty.

Jeruzalem już spało. Spał Kajfa u boku żony, spał Sanhedryn i Piłat. W domach, gospodach, pod namiotami i gołym niebem odpoczywały rzesze pielgrzymów. Na nieboskłonie zaczynały się pojawiać zwiastuny świtu, gdy cierpiący na bezsenność Ben Seti ciągle bił pokłony przed Niewidzialnym. Zanosił do niebios błagania, aby Wszechmocny raz jeszcze zechciał wybaczyć wybranemu przez Niego narodowi winy.

Piętnaście stadiów na północ od Jeruzalem, w Betanii, na kamiennej ławie przed domem, siedział Jeszua. Wiatr przesuwał za widnokrąg czarne jak bazalt chmury.

FRAGMENT TRZYNASTY

W którym czytelnik zabłądzi wraz z Judaszem do podejrzanej gospody, gdzie będzie grać wraz z nim w mankalę, potem pozna młodą oślicę o imieniu Tamar oraz dziewczynę nazywaną Czarną Lilith.

Szedł przez miasto, a w głowie słyszał: „Ten Jeshua prosi się o ukamienowanie… Prosi się o śmierć". Szedł i zastanawiał się, co ma począć. Wrócić do Betanii i wyznać wszystko Nauczycielowi? Przyznać się, że był u kapłanów – którzy każą wracać do Galilei? Przecież Jeshua nie posłucha, a uczniowie będą patrzeć na niego jak na kogoś, kto zamyśla zdradę.

Skręcił w stronę Bramy Efraima, później w prawo, potem znów w lewo. Stał na rogu, potrącany przez przechodniów, potem sam ich potrącał, idąc tonącymi w coraz większych ciemnościach uliczkami. Wzrok miał jak lunatyk – i jak lunatyk niczego nie zauważał. Włóczył się po mieście bez celu. Ocknął się, gdy doszły go jakieś głosy. Był naprzeciw drzwi prowadzących do gospody, opuszczała je rozbawiona kompania legionistów. Idące z nimi dziewczyny popiskiwały między sobą jak mewy, ich śmiech zdawał się ranić ciszę.

Zszedł do ciemnej i wąskiej jak ośle ucho sieni. Przeszedł przez pierwsze z pomieszczeń, minął stół zajęty przez podchmielonych legionistów, których hełmy walały się na podłodze, usiadł w kącie drugiego. Ciemnoskóra dziewczyna o smutnym spojrzeniu postawiła przed nim dzban. Jej szyja była wygięta jak u egipskich piękności. Wypił duszkiem dwa kubki i przyjrzał się siedzącym. Zdawali się go nie zauważać, ale gdy napotkał czyjeś oczy, odniósł wrażenie, że patrzą na niego jak na intruza. Było mu to obojętne. Długo siedział osowiały nie wiedząc, co się wokół dzieje. Z letargu wyrwały go podniesione głosy. To dwóch grających w mankalę kłóciło się o kamienie. Wsłuchał się lepiej: nie szło o kamienie, ale o obrazę. Wielkolud, który miał więcej szczęścia, wyśmiewał się z pechowca, szydził z jego rzutów. „Grasz jak pies – powtarzał ze śmiechem. – Jak rudy pies". Powtarzał tak długo, aż chudy uderzył go w twarz. Wielki podskoczył, chwycił tabliczkę z zapisami i trzasnął nią wspólnika w głowę. Judasz stał już na nogach, gotów by włączyć się do bitki, gdy ten, który roznosił wino, objął chudego w pasie i odciągnął od stołu.

Zajął swoje miejsce, tamci usiedli też. Stanąłby po stronie chudzielca nie po to, by go bronić, lecz zmierzyć się z wyższym o dwie głowy goliatem. Poczuł, że potrzebuje właśnie tego. Wziąć się za bary z siłą, która go przerasta. Że potrzebna mu bijatyka – i że właśnie stracił dobrą okazję. Nie miałby nic przeciw temu, aby go w tej zwadzie poturbowali, bo zapewne włączyliby się i inni. „Chyba się o to proszę, pomyślał zaskoczony. Bijatyka z krwią i nosem jak oliwka przywróci mi spokój."

Ciemnoskóra krążyła po sali. Podeszła do legionistów i postawiła na stole wino. Wyzwoliła dłoń z ręki jednego z nich, po czym z miską placków przeszła do Judasza. Jej postać była jak z bazaltu, oczy miała smutne i pełne rezygnacji. Bardziej patrzyła w bok niż na niego, lecz, przez co wszystko, co robiła, zdawało się być nieobecne, dzban i misa, które podnosiła, zdawały się tracić wagę. W nikłym świetle nie był w stanie stwierdzić, czy jest Egipcjanką, czy też pochodzi z daleka. Zaraz po niej podszedł roznosiciel i postawił na stole nowy dzbanek.

– Oni tak zawsze – wyjaśnił. Potem rzucił od niechcenia: – Widzę, bracie, że podoba ci się ta czarna. To niemowa. Jeśli zechcesz, będzie dziś twoja. W jej kraju dziewczynka, która rodzi się jako pierworodna, należy do wszystkich – objaśnił. I dodał: – Mamy też inne oślice. Są zdrowe i młode. Przybyły specjalnie na Pascha.

Gdy nadal nie okazywał zainteresowania, stręczyciel zmienił propozycję.

– Zagraj, bracie, w kości, dziś twój szczęśliwy dzień – rzekł, dostawiając dzbanuszek z suszonymi rybami. – Przy tamtym stole – pokazał. Judasz spojrzał we wskazaną stronę. Na ławie były wolne miejsca. Wstał bez przekonania, wziął kubki i zajął miejsce wśród graczy.

Rzucił i zgarnął całą pulę. Potrząsnął kubkiem, wypuścił kości – i wygrał znowu. Kompan, który siedział najbliżej, poklepał go po ramieniu:

– Jeśli teraz wygrasz, to…

Nie zdążył dokończyć, Judasz rozrzucił kostki po blacie – i zgarnął pięć szekli.

– Nooo! To twoja szczęśliwa noc. Nalej wina! – rozkazał i dał znać posługaczowi, który zaraz zjawił się z jeszcze większym dzbankiem.

Kości potoczyły się po stole – i znów wygrał. Podniósł wzrok – i natknął się na grubasa.

– Pokaż kubek – powiedział gruby. Judasz podał. Tamten zajrzał na dno, włożył palec do środka, obrócił nim i oddał.

Gdy wygrał kolejny raz, poczuł się nieswojo. Chciał już wyjść. Zgarnął szekle do trzosa. Pojawił się posługacz, a wraz z nim podeszła dziewczyna.

– Mówiłem, że to twój dzień. Tamar przyniesie ci fortunę – dodał, popychając dziewczynę do przodu.

Judasz podniósł głowę.

– Jesteś Tamar?

Dziewczyna usiadła obok i założyła rękę na jego ramię.

– Podoba ci się moje imię? A ja ci się podobam? Jeśli chcesz, będę dzisiaj twoją żoną.

– Znałem… – zaczął i się zatrzymał. Ale dziewczyna nie zwróciła na to uwagi. Przysunęła się bliżej i śledziła, jak kości rozsypują się po stole. Przegrał – i odetchnął z ulgą. Tamar przysunęła twarz do jego głowy.

– Masz piękne włosy – szepnęła. – Jak miedź. Jeśli wygrasz, pójdziemy do mnie – szepnęła i dotknęła językiem jego ucha. Znalazła się tak blisko, że zdawało się Judaszowi, że poczuł zapach jej łona. Poczekał na swoją kolej, potrząsnął kubkiem i wysypał kości na stół.

– Belliar ci sprzyja! – wykrzyknął grubas i uderzył pięścią w blat. Jego twarz była czerwona jak bukłak z krwią. „Najwyższy czas wyjść".

– Zaraz wrócę – powiedział i wstał. Objął dziewczynę i ruszył z nią w głąb gospody. Przy stole legionistów potknął się o leżący przy ławie hełm i zahaczył biodrem o kant. Syknął z bólu, oparł się ręką o blat.

– Gdzie masz swój kącik?

– Przy drugiej ulicy.

– Pójdą za mną?

Dziewczyna zawahała się.

– Jak wyjdziemy razem, to nie.

Znaleźli się na ulicy, Tamar objęła zelotę w pasie. Trzymała go niczym zdobycz. Gdy zorientował się, że jej palce obmacują sakiewkę, sięgnął za pas i wyjął szekla.

– To twoja nagroda – wcisnął jej monetę w dłoń i uwolnił się z uścisku. Dziewczyna rozwarła palce i uśmiechnęła się.

– Przyjdź jutro – szepnęła i pocałowała go w policzek. – Pytaj o Zuzannę, to moje prawdziwe imię.

– Zuzanna?

– Ale tylko dla ciebie.

Stał i patrzył, jak odchodzi. Stał jak zamurowany. „Czy może być, że to…? – przyszło mu do głowy. – Nie, to na pewno nie ona."

Zuzanna szła środkiem ulicy, roztańczonym, dziewczęcym krokiem. Szła i podśpiewywała. Odwróciła się i pomachała mu ręką.

FRAGMENT CZTERNASTY

W którym Judasz odwiedził dawną kedeszę i dowiedział się od niej o sprawach, których przebiegu nie podejrzewał.

Skręcił w przecznicę, zszedł na plac, gdzie minął grupę grzejących się przy ogniu żebraków. „Tamar… – mówił do siebie – Tamar". Chłód późnej nocy przenikał przez ubranie, Judasz otulił się w płaszcz. „Muszę ją odwiedzić… Jeśli ta suka jeszcze tu jest". Potem zatoczył się, oparł rękę o mur, pozbył się nadmiaru tyle co wypitego wina i ruszył w stronę domu dawnej ger.

Stuknął kołatką. Po chwili dwa razy knykciami. Potem znów kołatką. Drzwi otworzyły się, stała w nich uśmiechnięta Tamar. Zobaczyła go – i przestała się śmiać.

– Tt-o ty?…

– Wpuścisz mnie?

Zawahała się.

– N-nie – zawahała się. – Dobrze, na chwilę.

Judasz rozejrzał się po mieszkaniu. Stół był nakryty, na środku stała menora.

– Czekasz na kogoś…

– Myślałeś, że na ciebie? – spytała i przetarła ręką czoło. Było to odruch kogoś, kto chce się obudzić. – Co tu robisz, gdzie byłeś, czemu się nie odzywałeś? – zapytała jednym tchem.

Judasz oparł się o ścianę.

– Przenocujesz mnie? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Jesteś pijany.

– Już nie.

– I brudny.

Spojrzał na siebie, potem na jej suknię.

– Wyglądasz pięknie.

– Czego chcesz?

– Przenocujesz mnie? – powtórzył.

– Przyjdź jutro.

– Jutro nie.

Gdy skierował się do wyjścia, ruszyła za nim.

– Przyjdź później.

– Nie – odpowiedział, przestępując próg.

– Poczekaj – Tamar przytrzymała go za rękaw. – Wejdź.

– Po co?

– Odprawię go. Ukryj się na dachu.

– Nie będę się nigdzie ukrywać.

Cofnęła się do środka i zaryglowała drzwi.

– Zdejmij płaszcz. Od dawna jesteś w Jeruzalem?

– Od dzisiaj. Muszę umyć twarz.

– Tam jest łaźnia – wskazała na kotarę.

Mył się i słyszał, jak ktoś puka do drzwi i jak rozmawiają przytłumionymi głosami. Mowa kobiety brzmiała stanowczo, mężczyzna mówił ciszej. Natężył słuch, ale nic nie mógł zrozumieć. Odczekał, aż głosy umilkną i wrócił do pokoju. Tamar domknęła drzwi, podeszła do stołu, nalała wina i wypiła duszkiem. Potem napełniła obydwa kielichy.

– Wypij – rzekła. – Za powrót – zaśmiała się ze złością. Wypiła pierwsza i odstawiła naczynie na stół. – Gdzie byłeś przez te lata?

– W Galilei – odrzekł.

– Trzy lata?

– Tak.

– Masz tam jakąś oślicę?

– Ciągle jesteś piękna, Tamar – odrzekł i ujął jej dłoń. Kobieta cofnęła rękę.

– Jesteś głodny?

– Jadłem już. W jakimś… kabaku. Koło pałacu Heroda.

– Ach, tam… – Pokiwała głową. – Szynk Longinusa.

– Longinusa?

– Setnika. Nie zamknie nawet w Paschę. Usiądź, zaraz wrócę – rzuciła i znikła za kotarą.

Patrzył na miski i zastanawiał się, dla kogo je przygotowała. „To ktoś młody – pomyślał. – Stary nie dałby się odprawić, młody może jeszcze jakąś znaleźć.” Słyszał, jak Tamar porusza się i jak stukają kobiece słoiczki. Wstał i przeszedł się po mieszkaniu. Znów był trzeźwy, wino wyparowało z głowy jakby w ogóle nic nie pił.

Kotara rozchyliła się i ger weszła do pokoju. Wróciła w samej tunice. Takiej jak ta, którą kiedyś dla niego zakładała. Okrywała ją od stóp do szyi, ale nie zakrywała niczego. Usiadł na łożu, ale Tamar nie podeszła, zajmowała się porządkowaniem pokoju. Kręciła się i odwracała, sięgała po coś do półki i pochylała tak, jakby szukała czegoś na podłodze. Wszystko to robiła w milczeniu. Zachowywała się tak, jakby go nie było. Judasz także milczał. Czekał, aż się do niego odwróci.

Kobieta klęknęła na podłodze i zaczęła szukać za czymś w kącie. Jej pośladki poruszały się na boki, piersi kołysały. Przypomniało mu się, co mówił Abadon – że kobieta, nawet gdy ściera podłogę, staje się królową. Nie wtedy, gdy góruje, lecz gdy jest blisko ziemi.

Tamar podniosła się z klęczek i stanęła przy stole. Stanęła tak, jak potrafią tylko kobiety jej rodzaju. W bezwstydnym rozkroku. Patrzyła na niego wyzywająco, śmiejąc się i poruszając palcami stóp. Śmiała bezgłośnie, pokazując zęby. Znał ten śmiech. To były usta jak otwarta brama. „Ty suko", pomyślał. Przeszedł go dreszcz.

– Zasiądźmy do wieczerzy – odezwała się.

– To nie moja wieczerza.

– Teraz tak.

– Przygotowałaś ją dla innego.

– Ty jesteś tym innym. Daj mi rękę – odpowiedziała. I, nie czekając, ujęła go za dłoń. – Zobacz, jaka jestem… Dla ciebie – szepnęła, przykładając rękę do biodra. – Chodź, łajdaku!… – i tak gwałtownie pociągnęła go na posłanie., że niemal nie upadli. Judasz syknął.

– Coś się stało? – spytała.

– Biodro. Uderzyłem się o stół.

Usiadła na nim okrakiem.

– Nikczemny… – mówiła, zdejmując ubranie. – Nikczemny łajdak!…

„Ty wszetecznico", pomyślał znowu. A potem w nią wszedł.

Osunął się na bok zdziwiony, że wszystko stało się tak szybko. Czuł ból w plecach, jego uda drżały.

– Nikt mnie nigdy tak nie dotykał – odpowiedziała cichym głosem. I dodała: – Już się nie zgubimy. Będziemy jadać jak dawniej, twoja suka z ręki pana.

– Jesteś największą suką, jaką znam.

Zaśmiała się, potem wstała i poszła po kubki. Jej plecy, mokre od potu, lśniły niczym pogański pomnik. „Wszetecznica jak te, co oddają się na rozstajach", westchnął i poczuł, że ta myśl sprawiła mu przyjemność.

– Co to za malowidła w mykwie? – zapytał.

– Malowidła…

– Ładnie ktoś wyrył.

– Był taki jeden.

– Przecież to zabronione – rzekł.

– Mięso z wieprza też zabronione, a są, którzy jedzą… Sądzisz, że kapłani nie mają malowideł? – Podała mu kielich.

– Zawsze będę cię pragnąć. Jesteś szochet, Nachacie. – I dodała: – Jesteś morderca.

Spojrzał na nią uważniej.

– Więc wiesz… – zaczął.

– Głuptasku… – zaśmiała się. – Jestem z kobiet, które wiedzą wszystko.

– Zaszlachtowałem knura, jak na to zasłużył.

– Jesteś mocny, Nachacie. Za to cię kocham. Jesteś silniejszy niż Barabasz. A knur, którego napadłeś, żyje.

– Jak to?

– Znalazł go kompan, z którym byli u oślic.

– Co z Barabaszem? – spytał, by ukryć zaskoczenie.

– Nie martw się o niego. Obejmij mnie.

– Jest tutaj?

– Jest bezpieczny.

– Jest w Judei?

– W więzieniu. Obejmij mnie już.

– W więzieniu?

– Tak. Ale możesz mnie objąć, włos mu z głowy nie spadnie.

Objął ją wolną ręką, Tamar wsunęła się jak pod skrzydło.

– Byłem wczoraj u kapłanów, Tamar… – zaczął. – Wydarzyło się wiele rzeczy, o których nie miałem pojęcia.

Patrzyła na niego z uwagą.

– Przez te lata chodziłem za Jeshuą. To nauczyciel z Nazaret. Jest lekarzem.

– Masz tam kobietę?

– Gdy uciekałem przez kanały, zraniłem się w palec. – Tam jest pełno błota. Nim dotarłem do Nazaret, miałem stopę jak wielbłąd kopyto.

– Miałeś iść do Aleksandrii.

– Tam uciekali wszyscy. Chciałem do Tyru, ale dotarłem do Nazaret.

Ogień jednej ze świec zaczął się chybotać. Kobieta zwilżyła palce i szybkim ruchem zgniotła knot.

– I ten Jeshua cię wyleczył – powiedziała kwaśno, poprawiając menorę.

– Tak. A teraz jest z uczniami tutaj.

– Też leczą?

Judasz nasrożył się.

– To nie są uczniowie, o jakich myślisz… – odrzekł z powagą. – Teraz Jeshua głosi.

– Aha… – pokiwała głową. – A co ty masz z tym wspólnego?

– Słuchałem go.

Kobieta zaśmiała się.

– Zostałeś jego uczniem? – Oparła się o ścianę i patrzyła z rozbawieniem.

– Możesz się śmiać, ale tak.

Kobieta podeszła do stołu. Było tak cicho, że słyszał stąpanie bosych stóp. Stała w świetle menory, ruchliwe światło wydłużało jej cień.

– To człowiek święty – odezwał się.

– Aha, jeszcze jeden Boży syn.

– Jest bezbronny jak dziecko.

– Ich broni szaleństwo.

– Musiałby być łajdakiem ten, kto by się ważył uczynić mu krzywdę.

– A ktoś chce?

– Słuchałem jego nauk – mówił dalej, jakby nie słyszał jej drwin. – Najpierw się śmiałem…

– Nie jesteś już zelotą?

– Nie wiem.

– Aha, nie wiesz.

– Wiem jedno: jemu grozi niebezpieczeństwo. Przybył tu, żeby nauczać i…

– Mów, to ciekawe.

– Obawiam się, że przyszedł po coś jeszcze.

– To znaczy?…

– Uczniowie… Nie chcę świadczyć przeciwko nim, jednak…

Kobieta gładziła wierzch jego dłoni.

– Wiesz, oni przymuszają go… – zawahał się. – Żeby Jeshua… Myślą, że Jeshua jest mesjaszem.

Tamar czekała.

– Możesz się śmiać – rzekł. – Ale…

– Nachat, to nie śmiech. Pamiętasz mesjasza, którego ukrzyżowali w dniu twojego przybycia? Ja go znałam.

– Tak? – zdziwił się. – Nigdy nie mówiłaś.

– Gdy byłeś w Galilei, ukrzyżowali dwóch. Jednego, bo złorzeczył Piłatowi, a drugi ogłosił się królem.

Mężczyzna pobladł. Otworzył usta i siedział jak uderzony.

– Co ci jest? – spytała.

Milczał.

– Co się stało?

– Tamar… – zaczął. – Oni ogłosili Jeshuę królem.

Zakryła dłońmi twarz.

– Po to byłem w Sanhedrynie. Ale oni… Powiedzieli, że Jeshua prosi się o ukamienowanie.

– Nachacie, król to sprawa Rzymu.

– Mówiłem im nieprawdę…

– Oszukałeś Sanhedryn?

– Żeby go ratować.

Patrzyła, nie ukrywając zdziwienia.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Widzisz… – zaczął. – Gdy tam byłem, przyszedł ich szpieg. Doniósł, że Jeshua przepędził kupców ze Świątyni. Wiedzieli już, że ogłosił się królem… Miałem wrażenie, że… No, że byli zadowoleni. Powiedzieli to, co ty. Że to sprawa Rzymu. Kazali, aby wyniósł się z miasta. Że jeśli zajmą się nim Rzymianie, oni umyją ręce.

– Zawsze tak robią.

– Mówiłem, że uczniowie chcą wywołać bunt.

– Po cóżeś mówił takie rzeczy?

– Oni boją się tylko buntu.

– Masz nadzieję, że pojmają go, nim uczyni to Piłat?

– Tak.

– Czy ten Jeshua wie?

– Że grozi mu krzyż?

– Że byłeś u kapłanów.

– Prosto od nich przyszedłem do ciebie.

– Nie licząc domu Longinusa… – westchnęła. – Rozmawiałeś o tym z kimś?

– Spotkałem tam młodą Zuzannę

Kobieta zaczerwieniła się.

– Uciekła ode mnie – powiedziała. – Sama chciała tam iść.

Podniosła się i przeszła do łazienki. Judasz nalał wina i wypił duszkiem. Wstał, przeszedł się po pokoju, znów napełnił kubek i znowu wypił. Tamar wróciła i stanęła przy stole. Znów w rozkroku, wulgarna i piękna.

– No to się wplątałeś…

– Nie wiem, co dalej – rzekł cicho. – Może kapłani go zatrzymają?

– Chyba na ukamienowanie – prychnęła. – Niech stąd ucieka.

– Wiesz… on idzie jak na rzeź. J-ja… – zająknął się – jestem gotów go do nich przyprowadzić.

– Przecież on nie pójdzie.

– Jeżeli obawiają się buntu, mogą kazać strażom, aby go pojmały. A po Pesah eskortować do Galilei.

– Za dużo od nich wymagasz, Judaszu.

Na dźwięk tego imienia zerwał się na nogi.

– Coś ty powiedziała?! – krzyknął. – Jak mnie nazwałaś?!…

Kobieta pobladła i osunęła się na posłanie. Zelota stał nad nią i krzyczał:

– „Judaszu”? Mówisz do mnie: „Judaszu”?! – Doskoczył do niej, chwycił za przeguby. – Skąd wiesz, że tak mnie nazywają?! – Targał nią, jakby chciał wytrząsnąć odpowiedź. – Mów! – krzyczał. – Mów!

– Puść!… To boli!… – szarpnęła się.

Puścił ją, usiadł na krześle i zakrył twarz.

– Jaki ja jestem głupi… – szeptał. – Jaki głupi!

– Nachat… – krzyknęła. – Posłuchaj mnie!

– Oszukiwałaś mnie cały czas.

Wstał, sięgnął po płaszcz. Kobieta zerwała się i stanęła przy drzwiach.

– Posłuchaj! Wiem o wszystkim, co się działo z w Galilei.

– Skąd wiesz?

– Przecież musiałeś się domyślać…

– Kto to?

– Nie mogę powiedzieć.

– Kto to jest? Jan? Wiedziałem, że to Jan!

– To nie Jan. Nie pytaj, nie powiem. To nikt z tych, których Jeshua wybrał.

Judasz napełnił czarkę po brzegi i wypił wszystko duszkiem. Spróbowała go objąć, ale odsunął ramię.

– Że tam jesteś, dowiedziałam się przez przypadek. Faryzeusz, który naucza w Galilei, odwiedził Zcharię. Od niego wiemy, że uczniowie Zanurzyciela przeszli do Jeshuy. Wtedy usłyszałam o nim pierwszy raz. Jeden z uczniów był Judejczykiem. Ten faryzeusz mówił, że Judejczyk do nich nie pasuje. Ale Jeshua go lubił. Neftali próbował nakłonić go do rozmowy, ale…

– Neftali?

– Nazirejczyk. Gdy powiedział o miedzianych włosach, a potem wtrącił, że uczeń jest z Kiriath, wiedziałam, że to ty. Mówił, że jako jedyny nosisz nóż. Spytałam, czy to sikkar. Wtedy się dowiedziałam, że przyjąłeś nowe imię. To wszystko, Nachacie. Albo, jeśli wolisz, Judaszu.

– Nie oszukuj mnie – powiedział cichym głosem. I wstał.

– Powiedziałam ci wszystko – Tamar trzęsła się jak żebrak w deszcz.

– Wszystko… tak.

– To ty mnie zostawiłeś. Miałeś wrócić, gdy się uspokoi, ale tobie co innego w głowie. Pewnie masz tam oślicę i sobie swawolisz, a mnie pozostawiłeś na uciechę młodzieniaszkom. Myślisz, że nie chcę męża, który by ze mną był?

– Więcej mnie nie zdradzisz.

– Zbliżałam się z innymi, ale nigdy cię nie zdradziłam. Słyszysz? Nigdy!

Judasz założył kipę i otworzył drzwi.

FRAGMENT PIĘTNASTY

W którym Judasz, zmuszony skorzystać z noclegu u ciemnoskórej posługaczki, rozmyśla w znajdującej się na obrzeżach miasta komórce o dziwnych sprawach i gdzie dzieją się niespodziewane rzeczy.

Piał trzeci kur i niebo od strony Moabu zapowiadało szybki świt, gdy Judasz po raz drugi tej nocy wychodził z gospody Longinusa. Nie był sam, wraz z nim piwnicę opuszczała czarnoskóra służąca. Ulice były puste, nie było na nich kota czy psa. Szedł w ślad za służką, mówiąc swoim zwyczajem to, czego nie zdążył powiedzieć Tamar. „Oszukujecie wszystkie – mamrotał. – Córki kapłanów na równi z wszetecznicami. Święte panny, które oddają się na pustyni i w gościńcach. W wysokich górach, na wzgórzach i pod każdym drzewem. Z każdym, z byle kim. Z właścicielami karawan i karawaniarzami. Gdyby nie klątwy, nadstawiłybyście się psu. Takie jesteście” – mówił cichym głosem wiedząc, że idąca przed nim dziewczyna nie słucha, a jeśli nawet próbuje się wsłuchiwać, to nic z jego pomruków nie rozumie. „Co ona mówiła o Jeshui? Że są tacy, którym nie można pomóc? No tak… ona nie pomoże na pewno”.

Gdy kilka chwil wcześniej dotarł do speluny Longinusa, ciemnoskóra efemeryda krzątała się w drugim końcu izby. Spostrzegła go, mówiły o tym jej krótkie spojrzenia. Od razu przyjęła jego obecność za oczywistą. Jakby wiedziała, że przyjdzie tam znów. Uśmiechnęła się do siebie, odwróciła i poszła lekkim krokiem w stronę kuchni. Przeszła przez salę z przechyloną na bok głową, z tą swoją, wydłużoną jak u egipskich piękności szyją i zniknęła w prowadzącym na zaplecze korytarzu.

Judasz rozejrzał się. Natrafił wzrokiem na rozpuszczone, rozrzucone jak turzyca dziewczęce włosy. To z wygiętymi w kabłąk plecami wysiadywała przy grających młoda oślica Zuzanna. Cofnął się w kąt, by go nie rozpoznała. Podszedł sługa o wyglądzie Greka, Judasz spytał o nocleg. Ten odrzekł, że wszystkie miejsca zajęli pątnicy, jednak może, jeśli nie ma gdzie, „zakotwiczyć u Tamar.”

Judasz zaprzeczył ruchem głowy.

– Już nie.

– No to u tej czarnej.

– Czarnej?

– Tej, która usługuje.

Zelota zawahał się, sługa wzruszył ramionami.

– Możesz też przespać się przy świątyni, tam palą ogniska.

Gdy gość milczał, stręczyciel rozłożył ręce:

– Innych miejsc nie mam.

– Niech będzie u czarnej.

– Dobrze czynisz, bracie – uśmiechnął się Grek. – Jedna noc, jeden szekiel. Nie znajdziesz tam wygód, ale doznasz wszelakiej wygody – ciągnął stręczyciel. Po czym objaśnił: – I nic nikomu nie powie, to niemowa.

Niemowa?

– Wycięli jej język. Nazywamy ją Czarną Lilith – szepnął uroczystym głosem. Potem, znów z uśmieszkiem: – Jest lubieżna jak koczkodan.

Dziewczyna wyszła z kuchni, niosąc przed sobą trzymany oburącz dzban. Zawstydził się na jej widok, nie do końca rozumiejąc, dlaczego. Odczekał, gdy się odwróciła i szybko wręczył posługaczowi trzy z wygranych szekli. Ten, zerknąwszy na szczodrą zapłatę, uśmiechnął się i rzekł:

– Zaczekaj chwilę. – Po czym zniknął za zasłonę, gdzie znajdowała się trzecia z izb.

Czarnooka postawiła dzban i przez krótką chwilę, nim nie oderwała od niego rąk, patrzyła mu w oczy. Spokojnie, bez mrugnięcia. Wiedziała wszystko. Przyszedł po nią, a ona pójdzie z nim. Zasłona do trzeciej izby rozdzieliła się, w rozstępie stanął starzec. W ręku trzymał miedziany, wyczyszczony do połysku kielich. Rozejrzał się po sali, po czym ruszył w stronę Judasza. Bez słowa podał mu naczynie.

– Z ziołami – wyjaśnił. Siwa głowa trzęsła mu się lekko. – Spróbuj.

Napój miał cierpki smak, szczypał jak młode wino.

– Wypij do dna – zachęcił z ledwie widocznym uśmieszkiem. – Przysporzy ci, synu, sił.

Wychylił napój do ostatniej kropli.

– Możesz być spokojny, wszystko będzie dobrze – powiedział matuzalem, odbierając kielich. Poklepał go po ramieniu, odwrócił się i zniknął za zasłoną.

Dziewczyna szła przodem, Judasz przyglądał się jej sylwetce. Teraz zauważył to, czego nie dostrzegł w oberży: postać służącej miała w sobie coś osobliwego. Coś, co niepokoiło. Była niczym jedna z lalek, którymi lubią się bawić dzieci. Pełne kształty i rysujące się pod suknią pośladki, miast zamieniać w kobietę, przydawały jej cech przerośniętego dziecka. Szła obezwładniona zmęczeniem, z trudem odrywając nogi od bruku.

Najpierw droga wspinała się w górę, potem przez chwilę w dół, później znów szli pod górkę. Dotarli do najbiedniejszej części miasta, zajętej przez stłoczone w nieładzie domki. Dzielnica przypominała koczowisko pasterskich szałasów. Szopki były tak proste, że bez trudu można by je było rozebrać i przenieść w inne miejsce. Teraz, nocą, okolica wydawała się wymarła. Dziewczyna zatrzymała się przy jednej z szop i zniknęła mu z oczu. Czekał, oparty o kadź z deszczówką. Mimo późnej pory czuł się rześki; eliksir, którym potraktował go starzec, dodawał sił. Po raz trzeci tej nocy wytrzeźwiał. „Przekroczyłem dziś trzy bramy”.

Służka wróciła, niosąc drabinę. Gdy przystawiła ją do komórki i zaczęła się wspinać, gdy stuknął rygiel, Judasz zawahał się. Pomyślał, że lepiej byłoby spać pod gołym niebem niźli w takiej stajence, ale na powrót było za późno. Czarna Lilith odwróciła się i przywołała go ręką.

Izba była jeszcze skromniejsza niż ta, którą niegdyś wynajmował u stolarza Aarona. Mała jak dziupla i ciemna jak dziupla, miała tylko jedno okienko. Stolarz wstawił do komórki kilka mebli, u posługaczki stał stół i skrzynia, zaś w rogu ciemniało pozostawione w nieładzie posłanie. Dach wspierał się na skrzyżowanych belkach, zza zawieszonej na żerdzi zasłony widać było misę i stojący na podłodze dzban.

– Mieszka ktoś na dole?

Odwróciła się. Jej oczy były otwarte, ale myśli przebywały gdzie indziej.

– Jest tu ktoś, prócz nas?

Służąca rozniecała palenisko, nastawiała wodę i zaczęła się rozbierać. Robiła to tak, jak codziennie, gdy wracała z gospody. Zdjęła tunikę, odsunęła ją stopą, rozpuściła włosy. Nie było w niej śladu tego, co posługacz nazwał lubieżnością. Lilith zrzucała łachmany, czyniąc to w taki sposób, jakby go przy niej nie było. Tak samo rozpuściła włosy. To nie był gest kobiety, która chce przyciągnąć powabami. Chodziła po izdebce nieskrępowana i była w tym czysta i jednoznaczna. Z równą swobodą jak piersi, objawiła przed nim łono. Wydobyła ze skrzyni kadzielniczkę, wsypała kilka grudek żywicy. Dosypała proszku, potem dodała kilka kropel płynu i postawiła naczyńko na żarzących się szczapach. Nim minęła chwila, komórkę wypełniła miła woń.

– Kim jesteś – zapytał Judasz. – Jakie jest twoje imię?

Dziewczyna oblała wodą piersi i ramiona. Tak jak się rozbierała, tak teraz myła. Patrzył na palce jej dłoni, długie i delikatne jak u garbusa. W jej ruchach było coś osobliwego. Myła zgięcia, pachwinę i miejsca pod kolanami, jakby obmywała nie siebie a kogoś innego. Jej ciało było dla niej czymś obcym – jakby wyzbyła się go, nim ktokolwiek mógłby je sobie przywłaszczyć. Judasz pojął, że dziewczyna, choć nie rozumiała wiele z tego świata, jedno wiedziała na pewno. Że nic na tym świecie nie znaczy.

Siedział ściszony wobec kogoś, dla kogo wszystko było bez znaczenia. Wszystko od początku, do ostatniej godziny. Wszystko było jej wiadome. Gdyby nie wycięto jej języka, i tak zbywałaby świat milczeniem. Świat dla niej nie istniał, a ona nie istniała dla świata. Doznawał teraz Judasz tego samego, czego doznał w Nazaret, gdy pierwszy raz zobaczył Jeshuę. Była sługą sług. Pomywaczką z piwnicy, którą wołano na zaplecze. I mogła pozwalać, by ten i ów kładł ją na podłodze czy ławie. Oni nie byli w stanie uczynić jej nic złego.

– Kim jesteś? – pytał w zadziwieniu. To, że pytania nie były rozumiane, przydawało mu śmiałości. Mógł mówić wszystko i pytać o wszystko. – Kim jesteś, pani? – powtórzył. Gdyby rozumiała i gdyby mogła odpowiedzieć, powiedziałaby najwyżej, że jest tą, która znalazła się w tej szopie. Jest sobą, zamkniętą w ciele jak w więzieniu.

Judasz jednak spytał – i spostrzegł w jej oczach niepokój. Bo co mogła, słysząc jego mowę, poczuć? Wydawane przez niego dźwięki to mógł być żart czy szyderstwo z jej podwójnej ułomności. Zawstydził się i zamilkł.

Patrzył na jej nagość. Stała niczym czarna lilia, o której mówił Jeshua, ubrana piękniej niż Salomon w całym przepychu szat. Śledził, jak rozprowadza po szyi natron i czuł, jak zaczyna wzbierać w nim czułość. Nie wywoływała pożądania, nie dopuszczała bezwstydu.

Gdy próbowała myć plecy, sięgając ręką na tyle, na ile można, Judasz wstał. Spojrzała zdziwiona. Dopiero gdy wziął gąbkę, obróciła się i schyliła głowę. Jego palce dotknęły pleców, Lilith drgnęła jak owca w dniu postrzyżyn. Potem uklękła i oparła się dłońmi o podłogę. Czekała. Judasz nie krył zakłopotania. Nigdy nie towarzyszył kobiecie w kąpieli, niewiasty Galilei obmywały się same, niekiedy z pomocą innej, nie słyszał jednak, by pomagał im mężczyzna. Mąż nie obmywał poślubionej, oblubieniec nie towarzyszył w kąpieli oblubienicy.

Ciało dziewczyny drgnęło. Poruszyła się, okazując zniecierpliwienie.

Przemywał jej plecy. Speszony, nie miał odwagi posunąć się dalej. Dziewczyna naprowadziła jego rękę na pośladki. Umył pięty, pokryte skórą o jaśniejszym odcieniu. Dotknął szyi, ciemnoskóra pochyliła głowę. Judasz cofnął rękę jak szochet, który zbliża się z nożem do niewinnego stworzenia. Było cicho, jak gdyby szałas stał nie w mieście, a w głuszy.

Umyła włosy i odwróciła się. Zaskoczyła go jej powaga. Patrzyła mu w oczy z tym samym spokojem, co w spelunce. Ale teraz była blisko. Nie spuszczając wzroku, sięgnęła po naczynie z oliwką. Nalała na dłoń, ujęła jego rękę i położyła ją na szyi. Poddawał się jej zamiarom bez oporu, posłuszny posłuszeństwem, którego nie znał. „Zbliżyłeś się do mnie i mnie poznałeś – mówiła do niego językiem, który nie potrzebuje słów. – Znasz mnie teraz i wiesz, kim jestem. I wiesz, jak jestem bezbronna. Nie skrzywdź mnie, proszę. Nie musisz ranić, abym była twoją”.

Wycierała włosy. Szybko schły, szybko się podniosły, tworząc wokół głowy czarny nimb. Tak samo rozwijają się owoce bawełny. Spodobało się Judaszowi, że jej włosy, przed chwilą zlepione wodą, tak prędko się ożywiały.

Spojrzała na niego – i się uśmiechnęła. Odwzajemnił uśmiech z niedowierzaniem, przekonany, że dziewczyna nie potrafi się cieszyć. Śmiała się oczyma i ustami. Pokazując na jego pierś, wyrzuciła z siebie krótki dźwięk. „El-el", wydukała, nieskrępowana kaleką wymową. „El, el", próbowała. Potem, poruszając się jak w tańcu, wykonała ruchy naśladujące oczyszczanie.

– Ja? – spytał z niedowierzaniem.

Przytaknęła, ciągle się uśmiechając. Wziął dzban i zszedł po deszczówkę.

Był już ranek, chłodny i czysty, w niebo wzbijały się pierwsze ptaki, z sąsiedztwa zaleciało fetorem gnijących na śmietniku resztek. Przez dziurę wyłamaną w dachu wydobywał się biały dym. „Jak dym pojednania", pomyślał. Napełnił dzban, stanął na pierwszym szczeblu – schodek pękł. Ulał połowę wody, spróbował ręką żerdzi. Ostrożnie, próbując listwy ręką, wspiął się z dzbanem do przybudówki.

Dziewczyna spała. Ubrana w tunikę, zwinięta jak kot. Słyszał jej oddech, równomierny i spokojny. Umył się jak najciszej i położył obok. Wyczuła jego obecność, ale nie otworzyła oczu. Odwróciła się i objęła ramionami, wplotła nogi między uda. Trzymał ją mocno, złączony z nią w jedno.

Gdy się obudził, siedziała obok. Przywitała go uśmiechem. Wzięła nóż, rozkroiła jabłko i podała połówkę na ciemnej jak heban dłoni.

FRAGMENT SZESNASTY

W którym czytelnik przejdzie z Judaszem drogę do Getsemani i będzie świadkiem pojmania Jeshuy oraz towarzyszących temu wypadków.

Świątynna grupka Malchosa przekroczyła Bramę Lwów. Idący na jej czele Judasz przyspieszył. Był w jasnym, dobrze widocznym w wiosenną noc płaszczu. Przywdział go chcąc, by Jeshua zobaczył go z daleka.

Płynące po niebie chmury co i raz przesłaniały księżyc. W chwilach, w których poświata rozświetlała dolinę, jej kamienne zbocza zdawały się być gruzowiskiem rzymskiego stadionu. W wąwóz Cedronu Judasz prawie że zbiegł. Wyprzedził świątynne sługi o kilka kroków. Schodził z piersią przepełnioną radością. Kapłani dali się przekonać. Teraz, po trzech dniach starań, zobaczył ich owoce. „Ma rację Jeshua, gdy mówi, żeby prosić i kołatać…", uśmiechał się. Był już pewny, że uda się ustrzec nauczyciela przed grożącym mu niebezpieczeństwem. „Bar-Abbę też Ananiasz uratuje. Mądry, stary, przebiegły lis". Uśmiechał się do siebie, a uśmiech rozjaśniał mu twarz. Pogodził się z myślą, że rabbi będzie na niego zagniewany. Również z tym, że może się od niego odwrócić. Jeśli musi tak być, niech się tak stanie. Może zostać odrzuconym kamieniem, o którym Jeshua tyle razy mówił, tym suchym drzewem, może pokutować do końca życia, ważne jest tylko, by nauczyciel ocalał. Ale Jeshua go zrozumie. Był też pewny, że mu wybaczy. On zawsze wszystko i wszystkim wybacza. Wybaczy od razu, wystarczy powiedzieć słowo. Jedno słówko, jeśli nie teraz, to później.

Był przy strumieniu Cedronu, który był o tej porze niemal bez wody. Za nim pięła się pod niebo czarna od drzew Góra. „Połowa drogi za nami, pomyślał. I od razu sprostował: Połowa będzie, gdy będziemy wracali." Jego sandał wdepnął w strumień. Drugą nogę postawił ostrożniej, nie na tyle jednak, by nie pośliznąć się na pokrytym szlamem kamieniu. Musiał się oprzeć, by nie upaść – zamoczył rękawy po łokieć. To go zatrzymało, stanął i czekał na świątynnych. Zrównali się. Na końcu grupy szedł dryblas potężniejszy niż Barabasz, niósł pałąkowatą niczym szyja dromadera żerdź. Żółta i sękata, zdawała się pachnieć niewyschniętą miazgą. „Na kogo ta laga?, pomyślał. Tam, między drzewami, nie będzie mógł jej użyć".

– Cedron – powiedział, wskazując na przemoczony rękaw. – Połowa drogi.

Spojrzeli po sobie, a jeden ze sług – ten, który niósł sznur – kiwnął mu głową.

Tutaj ostrożność była jeszcze zbyteczna. Nawet gdyby Jeshua lub któryś z uczniów nie spał, niemożliwe byłoby coś z tej odległości usłyszeć. Odgłosy orszaku musiałyby przebić się najpierw przez gęstwinę oliwnych drzew. Nie wiadomo też, czy spali na zewnątrz, w chłodną noc mogli wybrać na odpoczynek jaskinię. Jeśli rozłożyli się przy tłoczni, to oddział ma do niej nie mniej niż cztery stadnie. „Trzeba dotrzeć do Joshuy, nim uczniowie zdołają przeszkodzić, myślał. Jeshua nie będzie się bronił, on nigdy się nie broni. Nie będzie się z nikim szarpał." Jeśli nauczyciel pozwoli się przekonać, sznur będzie niepotrzebny i będą wracać do miasta jak zwyczajna grupka pątników. A uczniowie cofną się, widząc że mistrz się zgodził. Judasz wytłumaczy im, że zaraz po szabacie zaufani z Sanhedrynu eskortują mistrza do Galilei.

O tym zapewniał kapłanów, gdy starał się uspokoić ich obawy. Dręczyły go jednak miecze. Przekonywał kapłanów, że pozostawili je w Betanii, ale stary kohen słuchał tego z niedowierzaniem. Judasz też nie był pewny, co może się zdarzyć, jeśli je ze sobą zabrali. Tak po prawdzie, to były im zbyteczne, bo nikt z uczniów nie potrafił nimi władać. Żadną bronią, poza kosturami, którymi odganiali się we wsiach od psów.

Do ich uszu dobiegł zgrzyt zawiasów Bramy Nikanora; lewici zaczynali służbę. Strażnicy szli teraz jeden obok drugiego, z Judaszem w środku, otoczonym sługami. Byli tak blisko, że słyszał ich oddechy.

Wtedy coś go tknęło. W chwili trwającej tyle, ile trwa skok kozła, zdał sobie sprawę, że oto był wśród nich zupełnie sam, w ciemnościach – otoczony przez wrogich pachołków. Nikt z jego grupy nie wiedział, że tu jest – ani Jeshua, Abadon, ani Tamar. Był w ciemnej dolinie, świątynni mogli go w każdej chwili otoczyć i pojmać. Obić pałkami, jak młode łobuzy wieprza. „Mogą mnie zatłuc na śmierć. Otłuką i pogonią na cztery wiatry: „Pędź, zdrajco, gdzie oczy poniosą!" – i uwięzić Jeshuę sami. Nie był im do niczego potrzebny, mogli zrobić z nim, co zechcą. Co zdecydowali kapłani, nie on. „O nieba, westchnął w strachu, jak mogłem sądzić, iż Ananiasz mnie posłucha – mnie, Judejczyka, który przyłączył się do buntowników z Galilei?" Ananiasz nie potrzebował jego mądrości, miał swoje sposoby rozstrzygania ważnych spraw. Judasz zrozumiał swoje położenie, pot wystąpił ma na plecy.

Do uszu idących pod górę posłańców, oddziału cichego jak zwiastun złej godziny, doleciał dźwięk wzywających na pierwsza modlitwę trąb. Zaczynał się dzień, święte miasto wstawało z „Szema Izrael" na ustach.

– Ciiii… – szepnął Malchos. – Cii…

Przystanęli. Przez ciszę doleciał trudny do rozpoznania dźwięk.

– Ktoś schodzi.

– Zwierz.

– To żarna – odpowiedział któryś ze sług, również szeptem.

Dotarli do muru otaczającego pierwszy z ogrodów. W świetle budzącego się dnia ich oczy mogły wyłowić z mroku poskręcane pnie drzew. Malchos zwrócił się do Judasza:

– Tutaj?

– Dalej.

– Jesteś pewny?

– Poprowadzę.

Nie przebyli pół stadni, gdy strażnik znów podniósł rękę.

– Ciii…

– Ktoś idzie.

– To przy Złotej Bramie.

– Pątnicy – szepnął Judasz.

Za rogiem skręcili, mieli do szczytu nie więcej niż rzut kamieniem. Judasz zatrzymał się i wskazał ręką jaśniejące na wzgórzu skały.

– To tamte groty.

– Prowadź – powiedział Malchos. Słudzy rozsunęli się, tworząc dwa szeregi. Judasz ruszył, Malchos szedł pół kroku z tyłu. Niżej szli świątynni. W ciszy słychać było tylko skrzypienie sandałów.

Przed grotą nie było nikogo. „Posnęli", pomyślał Judasz. W tym samym momencie ciszę wypełniło głośne, krótkie chrapanie. Zabrzmiało głośno, jakby śpiący znajdował się u ich stóp. Zatrzymali się. Kilka kroków przed nimi, na skąpych kępach trawy, leżał mąż słusznej postury. Dowódca spojrzał na Judasza.

– To Kefas – szepnął uczeń.

Ominęli ostrożnie leżącego; ten ani drgnął. Nieopodal odpoczywał drugi, Malchos omal się przezeń nie przewrócił. Wyżej od tego, otulony w ciemny płaszcz, spał następny. „Jakby ich ktoś porozrzucał" – pomyślał Judasz.

Strażnik oszacował wzgórze szybkim spojrzeniem.

– Śpią, ale w bojowym szyku – mruknął pod nosem.

Teraz i Judasz zauważył, że uczniowie tworzyli wokół nauczyciela krąg. „Jakby chcieli go więzić…", pomyślał.

Księżyc znów wypłynął zza chmur; wtedy zobaczył Jeshuę. Stał z opuszczoną głową, wsparty ręką o mur. Pochylał się w pokłonach i prostował, pogrążony w modlitwie. „Odmawia szacharit", pomyślał Judasz i ruszył w stronę nauczyciela. Po chwili znalazł się od niego na wyciągnięcie ręki.

Mistrz usłyszał kroki i przerwał modlitwę.

– To już? – spytał, nie odwracając głowy.

– Tak, rabbuni, musimy iść – szepnął Judasz. Wtedy spostrzegł, że Jeshua się trzęsie – że drżał od stóp do głów. Drżał jak woźnica, którego rydwan wjechał na bruk. – Musisz się ratować – dodał.

Jeshua odwrócił się i spojrzał na przybysza niewidzącymi oczyma. Judasz nie był w stanie ukryć przerażenia. Głowa młodego rabina, jego włosy i broda, były zmierzwione i mokre, księżycowa poświata kładła na jego twarz trupi odcień. Objął nauczyciela i pocałował w policzek; był słony od potu i płynących łez. Piersią ucznia wstrząsnął spazm. Zdążył powiedzieć: – Chodźmy do Annasza… – i wybuchnął płaczem.

– Związać go! – krzyknął Malchos i odepchnął Judasza tak gwałtownie, że ten upadł. Stoczyłby się w dół, gdyby nie uderzył plecami o kamienie ogrodzenia.

Wtedy nastąpiło to, czego nikt nie się nie spodziewał, może nie przewidział też Ananiasz. Jak spod ziemi pojawili się wokół rzymscy legioniści. Wyskoczyli tak nagle, jakby wszystko, co miało się stać, zależało od jednego skoku. Było ich kilkunastu, ale rwetes, który uczynili, starczyłby na pół centurii. Bez tarcz i pancerzy, zbrojni w gladiusy, otoczyli świątynnych, wyrwali z rąk Malchosa sznur – i szybko związali ręce Jeshuy, zaś jeden z żołnierzy oplótł powróz wokół swojego przegubu. Teraz zerwali się też uczniowie. Wybudzeni ze snu, stali i patrzyli, zaspani, z rozdziawionymi ustami, zupełnie osłupiali. Nie mogli zrozumieć, czy to nadal sen, czy niemożliwe do ogarnięcia widowisko. Patrzył też spod muru Judasz, nie pojmując ani dowierzając temu, co się stało.

– To więzień cezara! – krzyknął do Malchosa ten, który najwidoczniej był dowódcą. – Należy do hegemona!

Judasz zwinął się niczym borsuk, zamknął oczy i zasłonił ramionami głowę. Leżał wśród kamieni, kilka kroków od kotłowaniny. Nie trwała długo, choć wydawało się, że harmider nigdy się nie skończy. Zacisnął powieki jak dziecko myślące, że skoro nie widzi, nie widzą go też inni. Słyszał tupot nóg, sapania i chrzęst kolczug, trzeszczenie skórzanych sandałów, przez tumult przebijały się przekleństwa oprawców. Był jak nieżywy. Jakby w tym swoim jasnym płaszczu sam zapragnął stać się wśród kamieni kamieniem. Drżał cały – i czekał na cios, bo ten mógł być zadany w każdej chwili. Zadadzą go, był pewny, jeśli świątynni otrzymali rozkaz, by się go pozbyć. Tak samo mógł go przebić rzymianin, bo nikt by nie przeszkodził legioniście, jeśliby przyszła mu ochota pchnąć go dla zabawy w bok.

Leżał tak długo aż wszystko ucichło. Oddalające się kroki, gardłowe pokrzykiwania, szczęk zbroi, trzeszczenie skórzanych osłon i turlające się po zboczu kamienie. Księżyc wyblakł już jak pokładna kromka, niebo rozjaśniło się i nastał dzień. Judasz rozejrzał się po ogrodzie. Nie było nikogo. Podniósł się z ziemi, usiadł na murku, przetarł dłońmi twarz. W dali, w połowie pnącego się ku miastu zbocza zdążała w stronę Złotej Bramy grupa ludzi. Spory oddział dochodził do murów, musieli tam być wszyscy razem, lewici i żołnierze z rzymskiej kohorty. Był wśród nich również spętany nauczyciel. „Więc tak się to kończy – myślał, nie dowierzając że to prawda. Że wszystko już się stało. – Tutaj doszliśmy, na tę górę, przez te trzy lata, a teraz wiodą biednego Jeshuę na stracenie. Jak on się, biedak, trząsł… jakby się rozpadał na kawałki. Jak zwierzątko wiedzione na rzeź. Jego oczy, Panie mój!…" Przez okamgnienie widział je, przepełnione rezygnacją, śmiertelnie przerażone. Oczy, których nigdy nie zapomni. Oto opadły łuski, a świat jak w ogniu błyskawicy pokazał swe prawdziwe oblicze. „Szaleńcy się nie liczą." Przypomniał mu się wzrok dziewczyny. Czarnej Lilith, która dobrze wiedziała, że nic nie znaczy. Że nic nie waży, nie ważyła i nigdy nie będzie ważyć.

„Gdzie są uczniowie?", spytał sam siebie. Gdzie oni? – Zdziwił się, że dotychczas ich nie szukał. – Któryś powinien tu być". Otrzepał płaszcz, rozejrzał się – nigdzie żywej duszy. „Rozbiegli się… Może są w grocie?" Zbliżył się do pieczary i stojąc naprzeciw wejścia spytał przytłumionym głosem:

– Jest tu kto?

Odpowiedziała mu cisza. Wchłonęła słowa, jak motek wełny pochłania szpilkę.

– Jest tam kto? – powtórzył. – To ja, Judasz.